9. VII 47

Cena 15 zł. Stron 12

KUŹNICA

Rok III Łódź, 8 lipca 1947 r. Nr 27 (96)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

PRAWDY, PRZEDE WSZYSTKIM
PRAWDY POTRZEBUJE WALCZĄCY
PROLETARIAT

Jean Jaurès

TREŚĆ NUMERU:

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI —
UWAGI O POLITYCE KULTURALNEJ (I)

KAZIMIERZ BRANDYS —
O KRYTYCE PO RAZ TRZECI

WIERSZE MŁODYCH

PAWEŁ HERTZ —
ODWIEDZINY U PROUSTA (I)

ZYGMUNT FIJAS —
ŚPIĄCY POŚRODKU MORZA

ADAM SCHAFF
O POTRZEBACH SZKÓŁ WYŻSZYCH

TADEUSZ HOŁUJ
SPRAWA POLSKA W IZBIE GMIN (1830—1870) (III)

JÓZEF GÓRSKI —
ROLA POSTĘPOWEJ IDEOLOGII

KANDYD —
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

UWAGI O POLITYCE KULTURALNEJ

I. KOMENTARZ

CENTRALNA Komisja Zw. Zawodowych w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki zamierza zwołać niezadługo ogólnopolski Kongres Kultury. Problematyka tego kongresu nie powinna być narzucona przez bądź co bądź szczupłe grono organizatorów. To szeroka publiczna dyskusja, przemyślenie krytyczne szeregu propozycyj z zakresu przyszłej polskiej polityki kulturalnej przez zorganizowane w swoich Zw. Zawodowych masy pracowników kultury winno stanowić przygotowanie Kongresu. Obrady Kongresu nie powinny być areną ogólnikowych starć różnych światopoglądów kulturalnych. Tej fazie wstępnej dyskusji niech służy prasa społeczno-literacka w ciągu najbliższych miesięcy. Na kongresie winny być dyskutowane już konkretne dyrektywy działania, obrady powinny wypełnić owocne spory o konkretne posunięcia, abyśmy jak najprędzej mogli przejść do ofensywy kulturalnej na wielką skalę, która by przyśpieszyła proces odbudowy tej ważnej a stosunkowo zaniedbanej dziedziny życia zbiorowego. Kongres winien przynieść zespolenie sił i dążeń, przezwyciężenie chaosu i anarchii, wytknięcie wspólnych celów, zracjonalizowanie gospodarki środkami działania kulturalnego, w konsekwencji uwielokrotnienie inwestycyj, uwielokrotnienie tak ilościowe jak i jakościowe przez celowość i planowość poczynań.

Na pierwszej przedwstępnej konferencji na żądanie CKZZ wygłosiłem szereg tez zagajających dyskusję na temat dróg i wytycznych naszej polityki kulturalnej w najbliższej przyszłości. Uczestniczący w tej dyskusji przedstawiciele zarządów związków artystycznych życzyli sobie, aby tezy moje zostały zakomunikowane i szerszej opinii, aby publikacja mogła stanowić niejako hasło do rozpoczęcia ogólnej przygotowawczej debaty w prasie w łonie poszczególnych Związków Artystycznych, organizacyj oświatowych i nauczycielskich, wśród wszystkich interesujących się polityką kulturalną. Czyniąc zadość tej woli — publikuję moje uwagi, mając nadzieję, iż ich niepełność, ich brak i niezamierzone błędy nie zniechęcą innych, przeciwnie, będą sygnałem do płodnej i szerokiej wymiany myśli z różnych środowisk, będą sygnałem rozpoczęcia pracy nad przygotowaniem się do projektowanego Kongresu Kultury.

Rozumiem, że uwagi te są zbyt osobiste, by mogły być **podstawą** do dyskusji, mogą być jedynie **sygnałem** do jej rozpoczęcia.

II. ZAŁOŻENIA TEORETYCZNE

Chciałbym rozpocząć od tezy, która wydaje mi się podstawowym założeniem naszej polityki kulturalnej. Formułowana była powielokroć. Tu wystarczy przypomnieć jakie miejsce musi zajmować w systemie polityki kulturalnej.

Głównym naszym zadaniem jest zmiana struktury życia kulturalnego w Polsce: zniesienie rozdziału między dojrzałą arystokratyczną kulturą klas uprzywilejowanych i służącej im inteligencji, a kulturą mas. Powtóre emancypacja i awans klasowych elementów kulturalnego życia robotniczego i chłopskiego. Po trzecie zastąpienie w życiu mas peryferyjnych, niedojrzałych form kultury ludowej kulturą dojrzałą, związaną z całą i pełną tradycją najlepszych osiągnięć kultury europejskiej. Po czwarte stworzenie poprzez te przeobrażenia strukturalne nowego stylu kultury ludu. Te postulaty w sumie znaczą tyle, co stworzenie instytucji, form i stylu kultury mas w Polsce, ukształcenie kulturalne mas ludowych.

Powtarzam tu tezy dobrze znane, po to jednak, aby podkreślić, że przez odniesienie do tego systemu założeń trzeba oceniać każdy szczegółowy postulat polityki kulturalnej, każdy fakt kulturowy nowy i stary, każdą instytucję i poprzez odniesienie do tych założeń ustalać hierarchię wartości kulturalnych naszych czasów.

Taki globalny program implikuje niewątpliwie postulat planu w kulturze. Stwarza zatem dylemat kultury „swobodnej" i kultury „kierowanej". Zanim rozważę ten dylemat szczegółowiej, chciałbym wyeliminować problemy pozorne przez zdemaskowanie tradycyjnych przesądów filozoficzno-kulturalnych, które utrudniają politycznie słuszne rozwiązanie tego dylematu. Dotychczasowa humanistyka mieszczańska interpretująca procesy kulturowe psychologicznie i indywidualistycznie wbrew faktom narzuciła przekonanie, iż podstawowym, wyjściowym przedmiotem wszelkiej polityki kulturalnej jest osobowość twórcy wartości kulturalnych — artysty, ideologa, działacza. Dla ludzi tak pojmujących procesy kulturowe — kultura „swobodna" oznacza liberalizm w stosunku do artystów, ideologów, działaczy, kultura „kierowana" oznacza skrępowanie swobody twórczej tych artystów, ideologów, działaczy, narzucenie im ideologii, stylu, tematyki, zainteresowań, norm.

Niestety, przesąd ten nieobcy jest zarówno zwolennikom „swobodnej" jak i „kierowanej" kultury. Jest wielu naiwnych przeciwników liberalizmu, zwolenników planu w kulturze, którzy chcą koncentrować poczynania polityki kulturalnej na osobowości twórców wartości kulturalnych, którzy chcą bezpośrednio, drogą „perswazji" przekształcać ich artystyczną ideologię. To są zupełne nieporozumienia. Przedmiotem polityki kulturalnej nie są osobowości artystów i ideologów. **Przedmiotem polityki kulturalnej są i mogą być jedynie złożone sytuacje kulturalne.** Sytuacje, w których twórcy wartości kulturalnych współuczestniczą. Taką sytuacją będzie wyliczając dla przykładu: rynek wydawniczy, zinstytucjonalizowane formy zawodowego zatrudnienia artystów: albo kierownictwo literackie kabaretu, albo kierownictwo wydziału kulturalnego Zw. Zaw. Rob. Budowlanych. Sytuacją kulturalną będzie kodyfikacja i wprowadzenie w życie ogólnokrajowego planu wydawniczego lub anarchia wydawnicza. Sytuacją kulturalną będzie taka materialna organizacja odpoczynku, która stwarza społeczne zamówienie na piosenkę kabaretową i taka, która stwarza zamówienie i awansuje twórczość piosenkarza służącego organizacjom młodzieży, świetlicom, ich stylowi życia i odpoczynku. Sytuacją kulturalną będzie ideologiczny wyraz rozwarstwienia klasowego społeczeństwa. Sytuacją kulturalną będą formy rekrutacji młodych kadr artystów i ideologów, społeczne formy ich kwalifikowania, wyróżniania i oceniania. Sytuacją kulturalną będzie również materialne ukształtowanie wpływów tradycji kulturalnej przez dobór reedycyj klasyków, dobór krytycznych informacyj o kulturze, jej prawach, rozwoju, przeszłości itd.

Ale dość wyliczeń przykładowych. Rzecz będzie rozjaśniona i poza przykładami w toku rozważań.

Tu potrzebne jest jeszcze jedno zastrzeżenie teoretyczne.

Dobrze rozumiemy, iż rzeczywistość ludzka, humanistyczna jest równie oporna jak rzeczywistość naturalna. Nasze reformy gospodarcze liczą się z faktami ekonomicznymi i prawami rozwoju danej formacji gospodarczej.

Psychologiczna i indywidualistyczna interpretacja procesów kulturowych, w węższym znaczeniu, zwłaszcza przemiana sztuki i innych form ideologii społecznej wytworzyła natomiast mit „absolutnej elastyczności" tych dziedzin rzeczywistości humanistycznej. Rozumowano: jeśli kultura w węższym sensie tego słowa jest wytworem czynności psychicznych i umysłowych, to przeobrażenia jej rządzą się tymi samymi prawami, co życie psychiczne i umysłowe. Wydawało się, że zmienić kierunek twórczości — to tyle co zmienić tok myślenia jednostki przez dostarczenie jej dotychczas nieznanych oświetleń, informacyj, interpretacji. Wydawało się, że wystarczy zgodnie z prawami psychologii urobić na nowy sposób psychikę twórcy, by zmienić wytwór bezpośrednio zależny od jego czynności psychicznych i umysłowych, tzn. kulturę w węższym sensie tego słowa.

Całe to rozumowanie jest nonsensem nie zgodnym z faktami.

Sztuka, nauka i wszelkie formy ideologii stanowiąc nadbudowę w stosunku do ekonomiki danego społeczeństwa rozwijają się wedle prawidłowości bynajmniej nieidentycznych z prawidłowościami, które rządzą czynnościami psychicznymi i umysłowymi człowieka. Są to prawidłowości swoiste, inaczej uwarunkowane, aniżeli wszelkie czynności psychiczne czy umysłowe. Chociaż czynniki psychologiczne odgrywają tu niezaprzeczenie swoją rolę. Realne wzajemne powiązanie i oddziaływanie wszystkich dziedzin życia społecznego jest tu argumentem dostatecznie przemawiającym za teorią swoistych praw i swoistego uwarunkowania. Proszę pomyśleć choćby, ileż czynników decyduje o rozwoju widowisk teatralnych w danym czasie i miejscu, jak zatem prawidłowości tego rozwoju są inne, niż prawa psychologiczne, niż prawa rządzące reakcjami psychicznymi danego dyrektora teatru czy wszystkich dyrektorów.

Wszelkie zatem zmiany sytuacyj kulturalnych muszą być dokonywane zgodnie z prawami rządzącymi rozwojem tych dziedzin rzeczywistości ludzkiej, które się na te sytuacje składają. Sztuka nie jest bardziej elastyczna i podporządkowana ludzkiemu widzimisię, aniżeli przemysł. Dla celów polityki kulturalnej trzeba tak samo studiować fakty artystyczne i realne możliwości rozwojowe danej sytuacji, jak dla celów polityki ekonomicznej studiuje się fakty gospodarcze i możliwości rozwojowe przemysłu. Co prawda w dziedzinie przemysłu łatwiej o swoisty dzwonek ostrzegawczy, czy popełnia się błąd w ocenie faktów. Produkcja przemysłowa czulej — a raczej bardziej oczywiście — reaguje — aniżeli artystyczna. Ale właśnie dlatego trzeba być tym ostrożniejszym w posunięciach w zakresie polityki kulturalnej.

Oczywiście studium możliwości rozwojowych na danym etapie wymaga jasnej świadomości kierunku tego rozwoju.

Tego dostarcza zasadnicza **polityczna** ideowa wytyczna dążeń czy to gospodarczych czy kulturalnych. Ta jest wynikiem zasadniczych walk klasowych epoki. My sformułowaliśmy ją wyżej: sharmonizowanie typu naszej kultury z całością społeczną demokracji ludowej w Polsce.

Sądzę, że wytyczne nowej polityki kulturalnej winny wskazywać jak przeobrazić konkretne sytuacje kulturalne w kraju. Nie wystarczy, gdy ułożą się w swoiste wyznanie wiary społecznej i estetycznej na użytek artystów i ideologów. Taki bowiem „wyznaniowy" zespół wytycznych będzie nieskuteczny, niczego nie wyperswaduje twórcom, nie pokieruje życiem kulturalnym. Rozwój kultury a nawet sztuki czy innych zinstytucjonalizowanych form ideologii nie da się ograniczyć do propagandy nowych, artystycznych wyznań wiary, czy nakazów wiary.

Odnowa życia kulturalnego w Polsce, jego uludowienie jest koniecznością. Trzeba wskazać artystom, ideologom, oświatowcom, działaczom cele kulturalnej przemiany naprawdę konkretnie i mobilizujące wszystkich naprawdę współtworzących typ kultury, konkretne sytuacje kulturalne. Wszystkich, a nie tylko swoistą artystokrację — artystów i ideologów. Dopiero taki zbiorowy wysiłek wszystkich istotnie, materialnie zdolnych przekształcić konkretne, rzeczywiste warunki życia kulturalnego mas i twórczości ich artystów — będzie mógł być początkiem wielkiego odnowicielskiego ruchu kulturalnego w Polsce. A przecież o taki wielki ruch kulturalny chodzi w tej chwili.

Położenie całego nacisku na posunięciach zmieniających sytuacje kulturalne nie oznacza bynajmniej i społecznego programu w stosunku do organizacyjnej technicznej strony kultury, a pozostawienie wolnej grze sił indywidualnych treści tej kultury. Przeciwnie, sądzę właśnie, że skuteczne przeobrażenia treści kultury, jej rewolucjonizowanie, tworzenie jej nowego ideowego kierunku dokonywuje się w rzeczywistości poprzez celowe, kierunkowe zmiany sytuacyj kulturalnych, a nie tylko czy przede wszystkim przez propagandę wśród twórców nowych programów ideologicznych.

III. SWOBODA I PLAN W KULTURZE

Postulat swobody twórczej artysty wprowadza wiele niejasności do praktyki współczesnej polityki kulturalnej.

Trzeba sobie spokojnie wyjaśnić parę kwestyj. Przede wszystkim swoboda artysty nie jest faktem socjologicznym i nie może być za taki uważana w sposób naukowo zasadny. Jest to typowa derywacja ideologiczna. Artysta w każdym ustroju społecznym tworzył w zależności od określonych warunków, w zależności od instytucyj życia kulturalnego. Faktem socjologicznym i dostępnym badaniu są jedynie historycznie zmienne formy uwarunkowania i uzależnienia twórczej działalności artysty. Walczymy z takimi formami uwarunkowania artysty, jak np. komercjalizacja kultury i uzależnienie sztuki od pogoni za zyskiem kapitalisty. Inne formy uwarunkowania uznajemy za cenne i pożądane, jak np. właściwe kulturze socjalizmu współuczestniczenie twórcy w budowaniu nowego społeczeństwa, w spełnianiu zadań wychowawczych.

Zupełna swoboda artysty, jego pogardliwa niezależność od otoczenia, od społeczeństwa, jego anarchiczna obcość wobec wszelkich pozaestetycznych norm nie jest, powtarzam, faktem socjologicznym, postulat takiej swobody nie odtwarza rzeczywistego, historycznego stanu rzeczy. Tego typu hasła były jed[illegible]nie ideologicznym wy-

razem społecznej pozycji drobnomieszczańskiej, twórczej inteligencji spychanej na dno w pierwszej fazie kapitalizmu finansowego, w okresie gwałtownego kurczenia się bazy społecznej kapitalizmu, na progu XX wieku.

Społeczne uwarunkowanie wszelkiej twórczości jest faktem tak samo nieusuwalnym jak to, że procesy twórcze przebiegają w czasie, że mieszczą się w historii, że stanowią część kultury. Chodzi jedynie o to, jaki typ uwarunkowania wybieramy. To zależy od całości danej struktury społecznej, od ustroju. Walka o nowy ustrój, o jego konkretne formy jest również walką o nową sztukę.

Nowe formy społecznego i gospodarczego życia w Polsce stanowią jej konieczne uwarunkowanie.

Ważną cechą nowoczesnych postępowych społeczeństw jest czynnik planu, planowości.

Plan w kulturze również jest możliwy i potrzebny. Idzie o planowe zorganizowanie czynników i tak warunkujących sztukę. Idzie o planowe zorganizowanie zinstytucjonalizowanych form życia kulturalnego.

Plan w kulturze nie oznacza i nie może oznaczać policyjnego skrępowania osoby artysty. Idzie o planowe i celowe zorganizowanie tych czynników życia kulturalnego, które i tak musiały być organizowane, tylko dotąd w sposób zależny od anarchicznych natchnień wolnej osobowości kapitalisty handlującego kulturą.

Nie będę tu wymieniał banalnych przykładów tych elementów życia kulturalnego, jak rynek wydawniczy, czy sieć teatrów, które ktoś jakoś zawsze organizował.

Wskażę natomiast na czynniki w warunkach kapitalistycznej kultury z reguły nieorganizowane, a które dziś nie mogą pozostać poza planem.

Jest to w pierwszym rzędzie sprawa zorganizowania postulowanego konsumenta. Warunki liberalnej gospodarki kapitalistycznej były w stanie związać w praktyce sztukę tylko z niezwykle wąskim kręgiem uprzywilejowanych odbiorców.

Kapitalistyczna bowiem organizacja życia kulturalnego nie przekraczała **form przedsiębiorstw** upowszechnienia dóbr kulturalnych, przedsiębiorstw o zasięgu całkowicie wyznaczonym przez zasadę rentowności. I to proszę zważyć, to właśnie warunkowało swobodę twórczą artysty, modyfikowało do głębi charakter, styl, jakość jego sztuki.

Obecnie idzie o to, by wyraźnie przekroczyć te ciasne ramy organizacji kultury poprzez przedsiębiorstwa i organizacji konsumentów kultury jako klientów przedsiębiorstwa.

Musimy stanąć na stanowisku, iż nie może być dzisiaj trwałej grupy społecznej bez własnego życia kulturalnego. Grupa administracyjna — gmina samorządowa winna mieć bibliotekę, organizacja młodzieży — świetlicę z całym wielorakim programem artystycznym, związek zawodowy i każdy jego lokalny oddział swój klub i wydział kulturalno-oświatowy. To nie są marzenia przyszłości, od dwu lat taka nowa organizacja życia kulturalnego, nowa organizacja konsumenta kultury buduje się. Poczytajcie sobie sprawozdania Zarządów Głównych organizacyj młodzieżowych, Centralnej Komisji Związków Zawodowych, szkół partyjnych, organizacyj oświatowych. Nasz postulowany konsument — to nie nabywca drogiego biletu w kapitalistycznym przedsiębiorstwie, to nie klient. Nasz postulowany konsument — to są masy pracujące — przede wszystkim zorganizowane w Zw. Zawodowych, Samopomocy Chłopskiej, organizacjach politycznych, organizacjach młodzieżowych, uniwersytetach robotniczych i ludowych.

Ze względów praktycznych nie dajemy profetycznego obrazu nowej kultury w jej oczekiwanej pełni. Nie skupiamy zatem uwagi na klasach naszego ciągle bardzo zróżnicowanego społeczeństwa. Kreślimy zaledwie plan minimalny. **Dotyczy on tylko elementu ludzkiego jakoś zorganizowanego, związanego z organizacją świata pracy wewnątrz trudnej, wieloklasowej struktury naszego społeczeństwa.**

To określa bliżej postulowanego producenta, stwarza owo nieusuwalne, faktyczne uwarunkowanie twórczości artystycznej.

Nasz plan musi przewidywać dostarczenie wytworów artystycznych dla powyższego typu odbiorców, i co ważniejsze dla tych typów instytucyj życia kultutralnego, którymi nasi postulowani konsumenci dysponują. A nie dysponują oni instytucjami starego typu, właściwego mieszczańskiej kulturze. Przynajmniej nie wyłącznie. Obok teatrów miejskich — mają teatry świetlicowe, estrady klubowe, zamiast kabaretów — zbiórki organizacyjne.

Czy to wymaga nowych przystosowań od producenta, nowej techniki? Tak! Jak to uzyskać nie popełniając rażących błędów, nie hamując rozwoju życia kulturalnego, przeciwnie intensyfikując go?

IV. ZAGADNIENIE NOWEGO STYLU

Aby odpowiedzieć na kapitalne pytanie postawione w zakończeniu poprzedniego punktu, trzeba rozważyć po pierwsze pewne pomocnicze postulaty ideologiczne nowej kultury, po drugie zaś konkretne wytyczne bieżącej polityki kulturalnej zmierzające do zmiany tych sytuacyj kulturalnych, których struktura nie może być utrzymana jeśli chcemy, aby zmienił się styl i kierunek życia kulturalnego u nas, aby zwyciężyły w praktyce twórczej nowe postępowe postulaty ideologiczne. Podstawowym postulatem zatem naszej polityki kulturalnej winno być wykształcenie w Polsce złożonego aparatu krytyki ideologicznej, krytyki kultury, sztuki i nauki. Świadomie używam tu pojęcia „aparatu". Dotychczas bowiem krytyka ideologiczna w Polsce reprezentowana była przez artykuły w czasopismach. Artykuły na tym etapie z konieczności ogólnikowe. Robiły one zwykle wrażenie rozkazów dziennych do pisarzy i artystów. Naszym twórcom natomiast brak jest tej roboczej pomocy jaką by krytyka ideologiczna powinna im dać. Otóż to wymaga wyjścia poza ciasne szranki ogólnikowego, postulatywnego artykułu. Musimy przezwyciężyć np. marazm naszych uniwersyteckich seminariów polonistycznych. Tam narodzić się powinien zorganizowany wysiłek badawczy uprzytamniający żywą tradycję literacką ostatnich kilkudziesięciu lat. Jej siły motoryczne wsteczne i postępowe. Zrewolucjonizowana winna być wiedza o kulturze tak, by odpowiadała na istotne socjologiczne pytania współczesnego pisarza i artysty, współczesnego czujnego i myślącego człowieka. Te ogólne postulaty dla krytyki artystycznej oznaczają zrozumienie tej prawdy, że w historii kultury jest stała walka o kierunek, nie ma okresów liberalnego „lesseferyzmu". Niekiedy dominantą tej walki krytycznej jest walka o styl, jak u neoromantyków gdzie niedoceniało się tęgich naturalistów, a przeceniało drugorzędnych „młodopolskich" stylizatorów. Niekiedy dominantą jest walka o poziom — przy eklektycznym tolerowaniu różnych stylów i dążeń artystycznych, tak bodaj wyglądało życie literackie lat 1929 — 1939. Wreszcie istnieją okresy, w których świadomie dominuje walka o ideologię — dzieła sztuki. W takim okresie żyjemy. I bodaj najlepsze okresy w dziejach sztuki cechuje ostrość, jasność, duże uświadomienie sobie faktu walki o ideologię, o nowe wartości kulturalne, o ich sens polityczny. Przykładem ruch humanistyczny, ruch encyklopedystów, wolnościowa literatura połowy XIX wieku. Nowa krytyka — nie powinna być traktowana przez artystów jako wyraz terroru społeczeństwa w stosunku do nich. Okres nasz całkowicie usprawiedliwia krytykę walczącą o nowy gust literacki, wymaga takiej krytyki.

Dla historyków literatury i kultury, wydawców klasycznych tekstów i komentatorów nasze ogólne postulaty winny oznaczać zorganizowany wysiłek wydawniczy i komentatorski zmierzający do całkowitego przeobrażenia tego co nazywa się polską tradycją kulturalną. Wyobrażenie społeczne zespołu wartości składających się na to, co tradycyjnie polskie w kulturze kształtowało się pod wpływem politycznej szlachetczyzny i politycznego wstecznictwa. Nie odkryta jest nasza wolnościowa ludowa tradycja. Ciągle Mochnacki jest dla uczniaka autorem heglistowskich ogólników o literaturze, o ukrainnych rycerzach z „Marii" Malczewskiego — nigdy rewolucyjnym, namiętnym, historykiem politycznym.

Musi powstać zupełnie nowy corpus polskich pisarzy postępowych. Muszą być zaakcentowane nuty społecznej i klasowej świadomości w naszej tradycji literackiej. Z tego punktu widzenia muszą być także przeczytani i pokazani wielcy pisarze Europy.

Wreszcie nasze ogólnikowe postulaty odnoszą się do wszystkich humanistów, których wysiłek badawczy ma uprzestępnić, sproblematyzować, pogłębić znajomość rzeczywistości ludzkiej, dać nową wiedzę o doli człowieka, o dynamice społecznej, naszym pisarzom i artystom. Wiemy dobrze, jak wiedza społeczna encyklopedystów wzbogaciła sztukę tego czasu, jak filozofia późnych humanistów (Charron) uzbroiła Moliere'a, jak wiele korzysta powieść radziecka (Al. Tołstoj, Erenburg) z marksistowskiej wiedzy społecznej.

To też nasze ogólne postulaty dla humanistów w ogóle oznaczają wyjście z błędnego koła fałszów pozytywistycznej (typu Spencera) i antypozytywistycznej (typu Dilthey'a i Webera) teorii kultury, oznacza wprowadzenie w krąg naukowej problematyki i w tok postępowania badawczego dotychczas nieuwzględnianej głęboko nowatorskiej marksistowskiej teorii kultury.

Pierwszym zatem postulatem naszej polityki kulturalnej winno być stworzenie całego złożonego aparatu krytyki ideologicznej przez celowe zreformowanie nie tylko praktyki naszej krytyki artystycznej, ale także nauki o kulturze w ogóle i przede wszystkim zrewolucjonizowanie społecznych wyobrażeń dotyczących dotychczas klasowo, antyludowo interpretowanej tradycji kulturalnej polskiej i europejskiej.

To jest podstawowy warunek przemiany sytuacji kulturalnej, w której tworzą nasi artyści — to jest pierwszy krok na drodze stworzenia nowej sztuki. Czynnik świadomości i ideowości naszych artystów i pisarzy w procesie tworzenia nowych wartości kulturalnych jest najistotniejszym. Ale ta świadomość musi być urobiona i ukształtowana przede wszystkim przez świadomy wpływ krytyki ideologicznej.

Drugim zasadniczym postulatem naszej polityki kulturalnej winna być właśnie walka o świadomość, o ideowość twórcy. Mogą tu potężną rolę odegrać ogólne instytucje ideologicznego życia społeczeństwa. Przede wszystkim partie polityczne. Od ich rozumnego zainteresowania kulturą i twórcami wiele zależy.

Nigdy nie będzie dosyć podkreślona najistotniej pozytywna, twórcza i bodaj najwydatniejsza rola w tworzeniu nowego typu kultury, jaką odgrywają w naszej epoce partie polityczne jako organizacje mas ludowych reprezentujące pełną świadomość ideologiczną, klasową tych nowych sił historycznych. Ale to zagadnienie typu kultury inspirowanego przez upartyjnione politycznie ruchy mas wymaga osobnego studium. Tu wystarczy stwierdzić, iż polityczny ruch organizacyjny mas już i dziś w istotny sposób determinuje procesy kulturalne w Polsce. I z tym faktem nasza polityka kulturalna winna się liczyć. Osobnym zagadnieniem jest jednak przeobrażenie ideowe świadomości artystycznej. To wymaga **społecznego ustabilizowania** nowej hierarchii wartości. To wymaga awansu tych form artystycznego działania, które najbliższe są formom ludowego życia kulturalnego. Nagrody, konkursy, specjalna opieka i zainteresowanie społeczne winno wyemancypować niezwiązane z mieszczańskim życiem kulturalnym formy aktywności. Cały możliwy splendor społeczny winien spadać np. na twórcę repertuaru świetlicowego. Oczywiście nie może to iść w parze z lekceważeniem tych form aktywności twórczej, które nie są ani specjalnie mieszczańskie, ani tylko ludowe, bo stanowią już część kultury europejskiej dziedziczonej przez wyemancypowany lud, trudnej, prowadzącej ten lud ku nowym osiągnięciom, stanowiącej jego uzbrojenie cywilizacyjne, stanowiącej czynnik podciągania mas ludowych do najwyższego poziomu osiągniętego historycznie przez ludzkość. To dotyczy np. tradycyjnej powieści, liryki, czy malarstwa stalugowego.

Sposób, w którym zorganizowane jest życie kulturalne postulowanego przez nas nowego konsumenta sztuki stawia nowe zadania formalne przed twórcą. Musi on rozwiązać arcytrudne, artystyczne zadanie jak przekazać wielkie tradycyjne treści kultury europejskiej za pośrednictwem tych nowych form życia kulturalnego: teatru świetlicowego, słuchowiska radiowego, scenariusza filmowego, form dostępnych na zbiórkach organizacyjnych, w klubach robotniczych itp.

Nowym zadaniem formalnym jest również pokonywanie oporów wrażliwości i techniki rozumienia znaków kultury odbiorcy, który nie jest spoufalony z różnorodnymi i komplikującymi się formami wyrazu. Jak przekazać trudne treści w prostszych formach.

Postulowany przez nas konsument stwarza również nową problematykę artystyczną. Problematykę szerokich horyzontów, problematykę swego życia, na miejsce jednostronnych i wąskich obserwacyj życia środowisk inteligenckich.

Drugi zatem postulat naszej polityki kulturalnej będzie dotyczył skierowania świadomości twórców na nowe zadania artystyczne, które stawia przed nim nowa organizacja życia kulturalnego postulowanego przez nas konsumenta.

Ale równolegle — a nawet nieco wcześniej ta nowa organizacja musi stać się faktem.

I to jest trzeci, najważniejszy, najpilniejszy, natrudniejszy postulat naszej polityki kulturalnej. Zorganizowanie życia kulturalnego nowego odbiorcy wartości kulturalnych będzie też równocześnie w praktyce przeobrażeniem tych wszystkich sytuacyj kulturalnych, które winny być głównym przedmiotem polityki kulturalnej i od których przeobrażenia zależy powstanie nowej kultury w Polsce.

Na wstępie trzeba sobie powiedzieć, że zwycięstwo polityczne mas ludowych zasadniczo zmieniło ich pozycję kulturalną. To też w działalności kulturalnej musimy wystrzegać się tradycyjnego „społecznikostwa" tak charakterystycznego dla okresu walki emancypacyjnej ludu w warunkach klasowej przemocy politycznej.

Dziś ludowi mogą służyć i służą wszelkie cenne formy aktywności twórczej, nie tylko te, które bezpośrednio wiązały się z treścią jego walki wyzwoleńczej. Dziś konsekwentna praca twórcza nad postępem danej dziedziny kultury (np. danej umiejętności zgodnie z jej naukowymi wymaganiami od astronomii czy filozofii kultury — do uprawy łąk czy radiotechniki) ma wartość dla postępu sprawy ludowej.

I druga wstępna uwaga. Polityka kulturalna nie jest do pomyślenia poza polityką oświatową. Nie ma kultury bez oświaty. Postęp kulturalny jest historycznym osiągnięciem ludzkości. I niezależnie od uwarunkowanej społecznymi stosunkami zmienności form życia kulturalnego — do pełnego korzystania z tradycyjnego dorobku kulturalnego ludzkości trzeba dorastać. Ten proces uzależniony jest od kierunku i charakteru polityki oświatowej.

Pełna realizacja zamierzonej reformy szkolnej jest najistotniejszym warunkiem powstania nowej, ludowej kultury w Polsce. Oczywiście — poczynania polityki kulturalnej — nie mogą czekać na zakończenie choćby pewnego etapu poczynań oświatowych muszą być dokonywane równolegle. Bo korzystanie z prawa do kultury, do kulturalnego życia i odpoczynku jak i z praw politycznych nie jest następstwem, ale warunkiem pełnego rozwoju oświaty. Elementy nowej sytuacji kulturalnej, a raczej nowych sytuacyj kulturalnych determinujących zarówno twórcę jak odbiorcę, trzeba nam tu po prostu wyliczyć, uzasadniają się same.

Po pierwsze będzie to rozbudowa instytucyj życia kulturalnego mas, tworzenie świetlic, wydziałów kulturalno-oświatowych zw. zaw. intensyfikacja ich pracy, podniesienie ich poziomu, eliminacja dyletantyzmu.

Ruch uniwersytetów robotniczych i ludowych nie mogą być takim kopciuszkiem jak jest. Bez własnego typu podręczników, bez własnych cyklów wydawnictw, z pismami najmniej ideologicznie mocnymi ze wszystkich, które w Polsce ukazują się. Tak organizacyjnie słaby, iż nie potrafi przyciągnąć, wykorzystać, właściwie zatrudnić nawet tej garści przodujących, radykalnych intelektualistów, których w Polsce mamy.

Po drugie stworzenie sieci bibliotek wiejskich. W krajach kulturalnych 1 tom wypada na 2 obywateli. Nasze zasoby biblioteczne zostały katastrofalnie zniszczone. W Polsce centralnej w miastach 1 tom wypada na 3 obywateli, na wsi 1 na 60; na Ziemiach Zachodnich natomiast 1 na 265. Przy racjonalnym gospodarowaniu budżetem kultury można stworzyć bodaj w ciągu lat 3 — 10.000 biblioteczek po 100 książek odpowiednio dobranych za cenę 200.000.000 zł. — ta suma zmieści się nawet w skromnym państwowym budżecie kultury. Będzie to równało się zaspokojeniu jednej szóstej potrzeb. (Doprowadzić w całym kraju do stanu 1 tom na 3 obywateli). Ale będzie chociaż początkiem. Trzeba, aby u nas ustalił się obyczaj prowadzenia kampanii bibliotecznych przez wszystkie czynniki państwowe i społeczne.

Po trzecie — i to jest warunkiem realizacji poprzedniego postulatu, należy skodyfikować ogólnokrajowy plan wydawniczy, który by racjonalnie służył nowej polityce kulturalnej i jej celom.

Po czwarte — należy zbudować sieci kin objazdowych, teatrów tego typu, sieć radiową, sieć wystaw objazdowych itp.

Po piąte trzeba zasadniczo zreformować, wzbogacić, usensownić życie kulturalne istniejących organizacyj społecznych.

To po szóste wymaga celowej i dotychczas niepodjętej akcji szkolenia odpowiednich pracowników. Stworzenie odpowiednich kursów przy Min. K. i S. Stworzenie choć jednej katedry polityki kulturalnej przy uniwersytecie stołecznym. Pamiętać przytem należy, że polityka kulturalna to jest całkiem co innego, aniżeli technika oświaty dorosłych, nie zastąpi tej katedry — studium prof. Radlińskiej, które ma zupełnie inny zakres.

Wyposażyć pracowników kultury we właściwe hierarchie wartości kulturalnych, nauczyć wybierać typ kultury jako całości sharmonizowanej we wszystkich szczegółach — to bardzo istotne zadanie. Ci bowiem kierownicy życia kulturalnego mas — zorganizują nowego konsumenta. Ta zaś organizacja zdeterminuje w istotny sposób twórców, zadecyduje o nowym stylu kultury w Polsce.

Wreszcie postulat siódmy najtrudniejszy, choć najmniej kosztowny. Realizacja wszystkich poprzednich postulatów wymaga zacieśnienia współpracy artystów i oświatowców. Nie znaczy to, by artysta, twórca miał zastępować oświatowca i pracować zań w świetlicy. To byłaby rabunkowa, samobójcza gospodarka.

Artyści i inni twórcy np. uczeni w ciągu ostatnich lat przecież nauczyli się współpracować z obcymi im przedtem ośrodka-

mi społecznymi. Np. powstała sztuka użytkowa i artyści nauczyli się pracować z przemysłem fabrycznym. Nową formą współpracy tradycyjnego pisarza jest współpraca z gazetą — podkreślał ten nowy typ pisarstwa wyrastającego z potrzeb i życia gazety Stawar na przykładzie Boy'a-Żeleńskiego. Praca literatów w filmie nauczyła ich zupełnie nowych form współpracy z technikami, nauczyła stosować się do potrzeb i wymagań techniki. Otóż weszliśmy w okres, w którym twórcy muszą nauczyć się współpracować z oświatowcami. Oni bowiem dziś jeszcze rządzą w tych wyemancypowanych instytucjach ludowego życia kulturalnego. A na tych instytucjach z powodów przede wszystkim ekonomicznych musi się oprzeć budowanie nowej kultury w Polsce. Ale to nie jest tylko sprawa dobrej woli artysty. Artysta pracował z mieszczańskim teatrem, siedział za kulisami, liczył się z technicznymi warunkami teatru, ale ten teatr go potrzebował, przyciągał, utrzymywał. Jeśli artysta ma tak zadomowić się w świetlicy — świetlica musi go szukać, potrzebować. Dziś to raczej oświatowcy nie znajdują drogi do twórców i artystów, aniżeli odwrotnie. To oświatowcy nie potrzebują artystów, starczy im byle kto, bo pracują bez rozmachu, bez perspektyw, bez ambicji tworzenia nowej kultury. To związanie oświatowców i twórców — to poważne zadanie dla centralnych ośrodków kierownictwa kulturalnego. I tego nie załatwi się gadaniem. Trzeba stworzyć konkretne, społeczne, zinstytucjonalizowane formy takiej współpracy. Np. stanowiska kierowników literackich teatrów świetlicowych wielkich związków zaw. czy organizacyj ogólnopolskich obsadzane przez pierwszorzędnych znawców, opłacanych i honorowanych na równi z kier. lit. teatrów państwowych.

Ale tu jeszcze jeden warunek: polski masowy ruch oświatowy i kulturalny musi interesować się sztuką. I to nie tą, którą sobie wyimaginował, którą sobie projektuje, ale tą, która istnieje. To warunek współpracy. Potocznie oświatowcy chcą od poety piosenek marszowych, ale lekceważą jego lirykę. Chcą od muzyków tańców, ale nie interesują się ich symfoniami. Gdyby tak postępował ów renesansowy papież i od Michała Anioła żądał tylko wzoru na mundury gwardii — nicby nie dostał. Użytkowy rysunek munduru powstał na marginesie zainteresowania się całą, zasadniczą twórczością rzeźbiarza przez rozumnego mecenasa. Tak jest i w Zw. Radz. Twórczość piosenkarska jest tam żywa — ale instytucje kultury masowej także i przede wszystkmi cenią i interesują się symfoniami Szostakowicza. Ja blisko obserwując te sprawy — raczej jako oświatowiec zabłąkany wśród artystów i z trudem, dość samotnie budujący mosty — wiem jak małe jest zainteresowanie polską sztuką, pracą polskiego artysty wśród organizatorów życia kulturalnego mas, jak mało o tej pracy wiedzą, jak rzadko po jej wyniki sięgają. To się musi skończyć. Dość szmiry, dyletantyzmu i czekania na „jakąś sztukę" w świetlicach, klubach, szkołach.

Z drugiej strony twórcy muszą zrozumieć sytuację kraju. Tak jak w okresie niewoli potrafili pełnić rolę polityków — tak dziś muszą w pewnym sensie pełnić rolę oświatowców. Mickiewicz w każdym wierszu aktualny, walczący pisarz polityczny nie przestawał być poetą. Można być poetą służąc sprawie kultury masowej.

Dlaczego nasi twórcy muszą przyjąć tę nową funkcję? Bo istnieje coś takiego jak obowiązek moralny twórcy wobec swojej ojczyzny. Kiedyś widziałem w egzotycznym kraju wystawę malarską tubylczej kobiety. Obrazy były nie więcej jak poprawnymi naśladownictwami impresjonistów francuskich. Kraj ów właściwie feudalny, podległy ekonomicznie kapitałowi europejskiemu był ojczyzną uciemiężonych i zupełnie ciemnych mas ludowych. Wysiłek miejscowej kobiety, która wyrwała się z haremu, zdobyła wykształcenie i przyswoiła sobie subtelną technikę malarską dojrzałej kultury europejskiej był sam w sobie imponujący. Ale ta malarka na tle swojej ojczyzny była czymś ohydnym. Nie wolno lekceważyć strasznej historii swego kraju. Ponosi za nią każdy odpowiedzialność. Ta kobieta w swoim kraju — ze swoim malarstwem była obca i zbędna. To historia kraju — narzuciła jej prosty obowiązek pracy kulturalnej nie w oparciu o dojrzałość i historyczny wysiłek Francji, ale w oparciu o własny kraj. A to znaczyło— nie malarstwo impresjonistyczne ale takie wysiłki jakie podejmowali twórcy narodowego odrodzenia różnych narodów słowiańskich przed 100 i więcej laty, pracę u podstaw, być może pionierki oświaty ludowej w swojej strasznej i niesprawiedliwej ojczyźnie.

Nasi twórcy muszą to zrozumieć. Zakres, charakter pracy kulturalnej wyznacza historia mas ludowych, wynaczają dziejowe zaniedbania, wyznaczają przeto istotne potrzeby kraju dzisiaj. Polska nie ma tradycyjnych resursów Francji. Nasz pochód naprzód musi być przede wszystkim odrobieniem zaniedbań wszystkich niedokonanych rewolucyj społecznych w naszej przeszłości.

Do tej sprawy jeszcze wrócę w zakończeniu. Przeobrażenie sytuacji kulturalnych w Polsce jest naszym trzecim głównym postulatem. Realizacja jego zależy od trzech czynników: środków materialnych, wykonawców i mądrego planu.

Sprawa wykonawców, sprawa ludzi, kadr pracowników kultury, twórców przede wszystkim, to czwarty nasz główny postulat.

Te kadry muszą być ilościowo wzbogacone. Weźmy przykład: w Polsce na 24 miliony obywateli mamy 500 pisarzy zrzeszonych w ZZLP. w Czechach na 6 milionów — 1000 pisarzy w SCS. Mamy zatem w czeskich proporcjach 1/8 tego co oni. Zespół współpracowników jednego nowatorskiego, specjalnego pisma lingwistycznego w Czechach („Slovo a slovesnost") stanowił 40 osób. U nas nie zebrałoby się tyle językoznawców w ogóle. W Czechach mamy około 300 teatrów — u nas około 60. Ilościowy niedostatek wszelkiego typu twórców i pracowników kultury jest głównym źródłem naszych trudności w polityce kulturalnej. Pracom, które trzeba spełnić nie podołają nigdy kadry, które posiadamy. Obserwuję np. naszych pisarzy widzę jak pracują, jak pracują mnożąc się i zwielokratniając, jak są publicystami, powieściopisarzami, reportażystami, krytykami, jak bardzo codziennie zatrudnieni mogą spełnić zaledwie drobną część prac, które czekają wykonania.

Ten stan rzeczy wymaga znów zorganizowanej, celowej interwencji. Musimy nauczyć się szkolić nowe twórcze kadry. Musimy intensywniej, rozumniej, bardziej planowo, opiekować się młodzieżą twórczą, musimy jej zapewnić kierownictwo i opiekę świadomą zadań, które stoją przed nową polityką kulturalną w Polsce. Narazie to wszystko jest niezorganizowane. Zależne od przypadkowych kwalifkacyj i dobrej woli tego lub innego działacza danego związku artystycznego. Większość młodych chodzi samopas, błąka się, głoduje.

Niewątpliwie, realizacja tych postulatów zależy w największej mierze od państwa ludowego i jego organów. Siła tego państwa, jej stały wzrost jest warunkiem powodzenia nowej polityki kulturalnej u nas. To jedynie państwo może koordynować wszystkie wyżej wskazane poczynania społecznych instytucyj kulturalnych, ono zatem musi kierować polityką kulturalną kraju.

Państwo dziś nie jest przeciwstawne społeczeństwu. Jest wspaniałym narzędziem działania społecznego. Nie można wyrzekać się tak potężnego narzedzia w rewolucjonizowaniu kulturalnym. Dlatego wypowiadam sie przeciw wszelkim hasłom „samorządu" kulturalnego. Nie znaczą one nic, a sa tylko symptomem lęku przed państwem ludowym.

V. EUROPEJSKOŚĆ NASZEJ KULTURY

Gdy mówimy o współpracy artystów z oświatowcami nie możemy poprzestać na ogólnikach. Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć jaki ma być nasz stosunek do tradycyjnej pracy twórców, która wyznaczona jest także przez konieczności jakie narzuca sprostanie dorobkowi i dążeniom kultury europejskiej.

Historyczna dola mas ludowych w Polsce i ich dzisiejsza zwycięska sytuacja polityczna stanowią determinanty zasadniczego kierunku polityki kulturalnej w Polsce. Nowa kultura w Polsce musi być procesem kulturalnej emancypacji tych mas ludowych. To ogólnikowe sformułowanie skryje w praktyce wiele niebezpieczeństw i niejasności. Takie procesy kulturalnej emancypacji mas zachodzą dziś w wielu krajach. Powstaje niebezpieczeństwo stosowania jednego i tego samego szablonu polityki kulturalnej we wszystkich krajach. Tymczasem każdy z tych krajów musi znaleźć własną drogę do kultury ludu zdeterminowaną przez jego odrębną historię i odrębną sytuację polityczną.

Niewątpliwie polityka kulturalna Zw. Radz. na terenie, powiedzmy, Kazachstanu stoi przed innymi i trudniejszymi zadaniami, aniżeli nasza polityka kulturalna. Inaczej bowiem wprowadza się do kręgu naszej kultury dojrzałej i właściwej nowoczesnym formom życia gospodarczego i państwowego społeczeństwa, które do początków XX wieku były poza tym kręgiem kulturalnym i co więcej mają swoje ludowe tradycje kulturalne z kręgu zupełnie odmiennego.

Proces europeizacji naszej kultury, który sięgnął głęboko i w życie mas ludowych dokonał się na przełomie XV i XVI w. To ludzie z pokolenia Kochanowskiego dokonali zasadniczego przewrotu. Od humanizmu począwszy obcy nam dotąd świat form, środków wyrazu, chwytów technicznych przeniknął do naszej kultury. Różnymi kanałami przenikał on i do kultury mas ludowych. Jako naród żyliśmy kulturą europejską. Dowodem tego jest choćby zasadnicza synchronizacja naszych ruchów społecznych z ogólnoeuropejskimi począwszy od świtu czasów nowożytnych.

Nasze masy nie stanowią w tym sensie analfabetów kulturalnych. Owszem, są dostatecznie spoufalone z trudną sztuką czytania zawiłych i przez 500 lat komplikujących się znaków kultury europejskiej. Od Kochanowskiego szliśmy krok w krok z centrami kulturalnymi naszego kręgu. I dziś nie mamy powodu, aby się zatrzymywać. Aby powiedzmy, rezygnować z trudnych form liryki rozwijającej się od Byrona do Rilkego na rzecz form śpiewnej pieśni ludowej, jako jedynie dostępnej na tym etapie emancypacji kulturalnej naszych mas. Wyrównanie poziomów kulturalnych u nas jest sprawą stosunkowo łatwiejszą. To też powiedzmy emancypacja i awans pieśni ludowej winien iść u nas w parze ze stałą ewolucją i doskonaleniem się trudnych form dojrzałej liryki, wiernej starej i dobrej tradycji osiągnięć europejskiej kultury.

To oznacza docenianie i wyzyskiwanie wszystkich typów talentów u nas, i twórcy świetlicowych jednoaktówek i twórcy liryk refleksyjnych.

VI. ZAKOŃCZENIE

Czego nam najbardziej brak, aby zaktywizować i usensownić naszą politykę kulturalną? Sądzę, że planu działania. Ograniczamy się na razie do siakiej takiej opieki nad zbiorami, żebraczego i przypadkowego mecenatu w stosunku do tych co tworzą — każdy sobie i wedle siebie i do długiego, nudnego, jałowego i bezskutecznego moralizowania artystów co mają robić, czym się interesować, by służyć Polsce Ludowej. Ten plan był nie do sformułowania w chaosie pierwszych lat po wojnie. Dziś jest sprawa bardzo dojrzała.

Niestety, jak wykazała odbyta niedawno dyskusja — planu takiego nie ma i naturalny ośrodek dyspozycji polityczno-kulturalnej Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Dlatego też nie podejmowane są jedynie ważne i sensowne kroki: to jest celowe zabiegi **organizacyjne**. Nie można oczekiwać, aż poszturgiwani twórcy „zrobią" nowy styl kultury w Polsce. Trzeba sięgać tam gdzie interwencja organizacyjna jest skuteczna w stosunku do wielorakich elementów procesów rozwojowych kultury. Należy unikać posunięć — które są z punktu widzenia praw dynamiki kultury nieskuteczne, dotyczą elementów niepoddających się bezpośredniej interwencji organizacyjnej. Trzeba zmieniać konkretne sytuacje kulturalne w Polsce. **A to wymaga posunięć organizacyjnych.** Niektóre z nich wymieniło się wyżej. Może wyliczenie nie było zawsze trafne, może hierarchia celów nie zawsze dobrze uporządkowana, ale pewien jestem, że sama zasada **organizacyjnych posunięć zmierzających do zmiany sytuacyj kulturalnych w Polsce** jest słuszna. Tylko tak skierowana działalność kulturalna — może przerodzić się w wielki ruch kulturalny, który obejmie masy. To jest zadanie dla polityków kultury. Nie spełnią go sami. Muszą zmobilizować twórców, oświatowców, organizatorów młodzieży i świat pracy. Nakreślenie celów, form, zasięgu tej mobilizacji powinno być rezultatem kongresu kultury.

Stefan Żółkiewski

KAZIMIERZ BRANDYS

O KRYTYCE PO RAZ TRZECI

Dwukrotnie już na tym miejscu pisałem o krytyce literackiej. Kilkakrotnie odpowiadano w różnych pismach na sformułowane przeze mnie uwagi. Sądząc z wypowiedzi adwersantów — sformułowałem je niedość jasno. Spróbuję więc jeszcze raz:

Broniłem kiedyś tezy, że wartość dzieła literackiego mierzy się przede wszystkim jego stosunkiem do rzeczywistości, a nie tylko do tradycji literackiej. Spotkałem się z zarzutem degradowania roli tradycji w kulturze. Wydaje mi się, że zarzut ten nie jest słuszny, nie wynika bowiem logicznie z przytoczonej wyżej tezy. Ale dla dobrych stylistów logika jest drobiazgiem.

Wartość krytyki literackiej mierzy się przede wszystkim jej stosunkiem do rzeczywistości, a nie tylko do dzieła literackiego. Tego zdania będę bronił równie gorąco, przewidując z góry podobne zarzuty. Czynność krytyczna wobec utworu nie powinna być fachem, ale konsekwencją światopoglądu krytyka. Krytyk wypowiada swój sąd o świecie, swoją filozofię — podobnie jak prozaik czy poeta. Książka, którą ocenia, jest tylko okazją do konfrontacji filozofii z faktem literackim. Krytyk nie służy pisarzowi jako ogrodnik, ani pisarz krytykowi jako grządka — obydwaj opisują rzeczywistość i tylko w ten sposób mogą sobie pomóc.

Nie zamierzam umniejszać roli recenzentów, jak mi to wytknięto w dyskusji. Odróżniam jedynie krytyków, dla których świat utworu jest światem wystarczającym, od tych, którzy konfrontują ten świat ze swym sądem o świecie rzeczywistym. Krytyka literacka międzywojennego dwudziestolecia zamknęła się w ocenie kanonów i ocenie odchyleń od kanonów. Czynność krytyczna wówczas zaczynała się dopiero tam, gdzie zaczynała się deformacja; określona deformacja kanonu — nie deformacja rzeczywistości, która jest składnikiem każdej sztuki. Stosunek utworu do współczesnych procesów historycznych ginął na górnych szczeblach konstrukcji krytycznej: Gombrowicza wsadzono na kark Dostojewskiemu i Rabelais'owi; dopiero w tej pozycji można go było dostrzec i ocenić, jako deformację deformacji, jako podwójne czy potrójne przełamanie kanonu. Ale wymowa „Ferdydurki" na tle sanacyjnej współczesności musiała czekać, aż odkryje ją Kott, i czeka nadal, aż zrozumieją ją inni. Niedawno przeglądałem zbiór przedwojennych recenzji z „Granicy" Nałkowskiej. Było ich z dziesięć. Odniosłem wrażenie, jakby je napisało dziesięciu Robinzonów na wyspie bezludnej, a nie dziesięciu krytyków z ostatnich lat przedwrześniowych ozonowej Polski. Kompozycja po dziesięć razy zamknęła się jak sklepienie nad głową krytyka, dziesięć razy krytyk oślepł w obliczu realnego świata.

Jeśli napisałem kiedyś, że recenzje nie kształtują literatury okresu — przede wszystkim takie miałem na myśli. Ironia KJW który rozkłada ręce w „Odrodzeniu", że dwuletni dorobek prozy nie zasłużył widocznie na nic więcej, tylko na recenzje — jest ironią w dobrym gatunku, ale ironią niesłuszną. Bo rzeczywistość społeczna dwulecia niewątpliwie zasłużyła na coś więcej; bo obraz przemian intelektualnych dokonanych w tym czasie niewątpliwie zasłużył na coś więcej — niż tygodniowe sprawozdanie w piśmie literackim o funkcji X w powieści Y. Bo wreszcie, aby tworzyć krytykę o trwałych wartościach, nie trzeba sięgać do książek bieżącego sezonu — praca o Boy'u Andrzeja Stawara będzie tego znakomitym przykładem.

Czy okres lat 1945—47 był czasem próżni krytycznej? Ależ nie! Był jednak czasem o tyle wyjątkowym, że zamiast dzieł krytycznych zostawił po sobie zbiór rozmów. Mam na myśli dyskusje toczące się w tym czasie na łamach „Odrodzenia", „Kuźnicy" i innych pism; dyskusję o realiźmie, dyskusję o inteligencji, dyskusję o wychowaniu. Być może, iż one przede wszystkim stanowią dorobek krytyczny pierwszego dwulecia po wojnie.

Wprawdzie te dyskusje, z wyjątkiem sprawy realizmu, toczyły się przeważnie poza zagadnieniami pisarstwa, w ramach nauki historii i socjologii. A jednak kto wie, czy pisarz naszej generacji nie im będzie najwięcej zawdzięczał. Bo oddziaływują na niego poprzez rzeczywistość, w jej rozwoju, w jej perspektywach ubiegłych i przyszłych. Dyskusja o inteligencji rzuciła światło na przebieg olbrzymiego procesu tworzenia się nowej grupy społecznej, ukazując epos przemian w jego prawdziwym kształcie i ruchu. Dyskusja o wychowaniu wskazała nową postać rzeczywistości, tragicznego bohatera nienapisanych jeszcze powieści: pesymistycznego antyreformistę — i ostrzegła przed nim pisarza i społeczeństwo.

Wolno objąć te zjawiska wspólnym pojęciem. Pojęciem pisarstwa o kulturze, kształtującego świadomość pokolenia, jego wiedzę o świecie, społeczeństwie i człowieku. Nie wątpię, że stąd będzie czerpać siły współczesna krytyka literacka. Krytyka — powtarzam — której wartość mierzy się jej stosunkiem do rzeczywistości, nie tylko do utworu.

Kazimierz Brandys

WIERSZE MŁODYCH

ANDRZEJ BRAUN

ELEGIA NADMORSKA

Żegnaj Latarnio Morska, jak płacząca siostra!
jeszcze wiatr spazmujący policzki ci chłosta.
Z wrzasku ptaków wstawałaś, jak Afrodis z muszli
schody morza waliły w swój hypnotyczny bęben.
tylko trzej ospowaci żołnierze nie uszli,
czarnomorcy, krepki tabak kurzyli jak smutek
przy nich iskry błyszczały w twym oku oślepłym
a uśmiech mieli szerszy niż matrosa kołnierz —
Tu pod spłakane szyby wiatr krymski nie dotarł...
Twoje mury, jak krypta zwietrzały od soli,
ty znasz ciągłych pożegnań smak i melancholii,
o sopiu łez zastygłych,
żegnaj żono Lota!

ANNA POGONOWSKA

* * *

Nie potrzeba mi nieśmiertelności
Ruchy, głosy przodków
Związane nową samotnością
Mają zdobywać po raz który wieczność?

Zbyt ubogi jest ból,
który spętał te obce elementy,
Aby pojął Boga
Mówiącego dialektycznie.

Nie potrzeba mi nieśmiertelności
Uderzenie śmierci
Roztrąci mnie jak miecz
W skrzydlate nasiona.

MIECZYSŁAWA BUCZKÓWNA

MIŁOŚĆ

Na wagę życia jest twoja obecność,
w pocałunku bardziej niż słowa nieśmiałym,
Przed deszczem osłaniamy się. Czyż to nie dość
by usprawiedliwić nieopanowany
lęk przed śmiercią — chroniąc się sobą nawzajem?

Oto są moje ręce. Więc tylko tobie
podać je mogę tak ufnie?
Słowa twoje dla mnie inaczej znaczą
niż wszystkim, którzy je słyszą.
Czy ja tylko je rozumiem?

A jednak wyłączność naszego istnienia
jest źródłem radości, może jedynym —
drzewo, ptak, liść nawet w twoich rękach zmienia
kształt na trwały, chociaż inny,
od wszystkich piękniejszy, prawdziwszy.

NOTATKA O „BOSKIEJ KOMEDII"

Stanęłam na ukrytej w ziemi czasu strunie.
Dźwięk zadrżał w mojej dłoni i kroplą krwi spłynął.
Dawno już umilkł Dante —
Gwelfów mowa zastygła w czasu rzeźbą inną.
Przetrwa burze żelazne czy runie?
Dante, gdzie jesteś? Czy po rajskiej przechadzasz się łące,
czy ręce pełne ziemskiej troski
załamujesz słysząc Beatryczy płacz gorzki —
ty, któryś mówił: „Miłość gwiazdy porusza i słońce".

ADAM WŁODEK

PÓŹNYM WIECZOREM

Pomyśl: list z twojej dłoni, wąziy obłoczek papieru,
a mocniej uderzy spojrzenie zapalczywego serca.

Pomyśl: przyszłabyś tylko — a zmięta bezładem noc
ułoży się posłusznie, wyrównana twym kształtem.

Pomyśl: tylko trzy słowa — miłość, poczta, czas,
a znaczą, że bez ciebie trudno przejść poza sen.

BEZ TYTUŁU

Starczy w oknie gałęzi kasztanu,
by przesłonić opadły z chmur mrok.
Starczy jeszcze gałęzi kasztanu,
by odgarnąć mrok z twarzy księżyca.

Blady księżyc romantyczny. Daleki
jak ten ciebie nie mogący objąć list.
Pisać źle samotnej nocy atramentem:
zgryzta pióro o piasek szorstkich gwiazd.

JERZY MILLER

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Czy ocalałem zadarmo?
Gdy spoglądam w zatarty album
jakbym kluczy dobierał do skarbon,
które cenną skryły zawartość,
twarz ujrzałem jak ze starych rycin.
Czy ją tylko zapamiętam z życia?

Odzyskuję gesty stracone,
jak mieszczanin wycięty z kartonu,
pod draperią z bezkrwistych tektur
treść ich baczny odgadnie lektor.

Czy ocalałem zadarmo?
Gdy czyjaś dłoń usuwa gruzy,
stygniesz milczący sobowtórze.
Czas zamazuje hełm żandarma.

PAWEŁ HERTZ

ODWIEDZINY U PROUSTA

KIEDY po wojnie zacząłem kompletować na nowo moją podręczną biblioteczkę, przypomniałem sobie wówczas o popularnej wśród grona intelektualistów zabawie która polegała na rozstrzygnięciu pytania: Jakie dziesięć książek zabrałbym ze sobą na wyspę bezludną?

Należałoby dziś zmodernizować tekst tego pytania. Po wymianie ostatnich dwóch słów na inne, bardziej sprzyjające współżyciu pisarza ze światem, pytanie nic nie utraci ze swojej aktualności, a zabawa będąca dotąd udziałem kilku pięknoduchów, może stać się popularną rozrywką dla dość szerokich warstw inteligencji.

Po to jednak, by lista dziesięciu książek mogła być wypełniona, należy rozpocząć popularyzatorską działalność w zakresie literatury pięknej. Kultura jest jeszcze wielostopniowa. Dziś dla bibliotek wiejskich musimy stworzyć listę dziesięciu książek, które wyprą dziesięć broszur odpustowych, dla bibliotek miejskich wybrać książki, które zastąpią Mniszkównę. Dla tych jednak, którzy przeszli już poprzez czyściec złej literatury, dla tych przed którymi zostało już otwarte niebo literatury naprawdę wielkiej i którzy bez większego wysiłku i z zaciekawieniem czytają Stendhala, Balzaca czy Tołstoja — dla tych właśnie czytelników, których z pewnością jest sporo, a napewno mogłoby być więcej niż się to nam wydaje, należy udostępnić kolejny rozdział z historii literatury światowej.

Wydaje mi się błędny ten podział, jaki stosowano ostatnio w rozważaniach na tematy pisarstwa. Według tego błędnego moim zdaniem podziału, prawda o świecie zawarta jest wyłącznie w literaturze wieku osiemnastego i połowy wieku dziewiętnastego. Potem jak twierdzą nasi purytanie, literatura przestaje być instrumentem postępu, gmatwa i zaciera prawdziwy obraz świata, odrywa się od rzeczywistości.

Koncentryczna ofensywa prowadzona ostatnio na pozycje nowoczesnej powieści odbije się katastrofalnie nie na pisarzach, lecz na czytelnikach. Pisarze bowiem, jeśli rozpoczęli swoje lata terminu w okresie międzywojennym, znają i cenią owe powieści, przeciwko którym często nawet występują na łamach pism. Pewien wybitny krytyk, który był jednym z przywódców prorealistycznej kampanii, zapytał mnie niedawno: Dlaczego Proust i Conrad, chociaż nie odpowiadają postulatom realizmu, są tak świetnymi pisarzami? Nie odpowiedziałem na to pytanie, nie jest ono bowiem łatwe, ale serdecznie uścisnąłem rękę wybitnego krytyka. Inny mój przyjaciel, gdy nieoczekiwanie zaskoczyłem go na popołudniowej lekturze, starał się ze zmieszaniem ukryć za sobą książkę. Zachowując dyskrecję, dostrzegłem jednak tytuł i nazwisko autora, był to dziennik André Gide'a. Nietrudno sobie wyobrazić, że w nocy gdy jest pewien, że nikt go nie może zaskoczyć, mój biedny przyjaciel czytuje „W stronę Swanna", albo co gorsza „Sodomę i Gomorę" , Marcelego Prousta.

Pisarze mogą więc bezkarnie rzucać anatemy i dowolnie wybierać sobie ideały literackie. Nowe pokolenie pisarzy w zmienionych warunkach będzie zapewne podlegać mniejszym wpływom „czarnej", jak ją nazywa jeden z moich przyjaciół (zresztą ojciec nowoczesnej poezji polskiej), literatury. Nowe pokolenie pisarzy przezwycięży być może granice dawnych treści literackich, wyjdzie poza dobre chęci stworzenia literatury dla szerokich mas. Dawne formy i dawne metody pokazywania świata mogą stać się mało przydatne dla nowej literatury. Nie znaczy to jednak, by nie należało wiedzieć, że kiedyś istniały i rozumieć dlaczego właśnie były takie, a nie inne.

Natomiast czytelnik, który przerwie swoją lekturę na „Wojnie i pokoju" i rozpocznie ją od książki napisanej według recepty Jana Kotta, będzie miał poważną lukę w możliwości rozumienia literatury. Nigdy bowiem żaden okres literacki nie zamyka się hermetycznie i nigdy nie dzieje się tak, by mimo wszystko jakieś elementy jednego okresu nie wzbogacały i nie wspomagały okresu następnego.

Dlatego też zabawa, którą usiłuję spopularyzować, wydaje mi się pożyteczna i celowa. Po to jednak, by czytelnik mógł dokonać wyboru z całej literatury, musi mu być udostępniony i ów najbardziej zakazany dziś okres: literatura pomiędzy dwiema wojnami. Indeks ksiąg zakazanych przez niektórych krytyków mieści w sobie między innymi nazwisko Marcelego Prousta. Jakiż jest powód, że Proust znalazł się w niełasce nawet u nas, gdzie znajomość jego wielkiego dzieła jest w gruncie rzeczy tak niewielka? Odpowiedź na to znajdziemy w liście Prousta do Francois Fosca, który zamierzał stworzyć słownik osób występujących w piętnastu tomach „Utraconego czasu" na wzór istniejącego już słownika osób występujących w „Komedii ludzkiej" Balzaca:

„...W słowniku balzakowskim — pisze Proust — znajdzie Pan nieuchronnie wskazówki tego rodzaju, jak naprzykład: „Diuszesa de Maufrigneuse, później księżna de Cadignan, ulokowała w roku 1811 za radą de Marsaya, który był w owym czasie jej kochankiem, 20.000 franków renty w pożyczce państwowej (w oryginale: Grand-Livre-przyp. mój). W roku 1827 dzięki względom Madame, majątek księżnej wzrósł do 37.000 fr. renty, ect." Otóż stojąc nawet na gruncie czysto społecznym, wolałbym, gdyby ten rodzaj spraw, zbyt balzakowskich, był wyeliminowany i zastąpiony następująco: „Oriana de Guermantes, księżna des Laumes, później diuszesa de Guermantes, nie chciała bywać u księstwa Jena, w okresie, gdy była księżna des Laumes (por. „W stronę Swanna"), później stała się ich bliską przyjaciółką i pragnęła nawet skłonić księżnę Parmy, aby złożyła im wizytę (por. „W stronę Guermantes'ów" II)..."

Te wskazówki Prousta wskazują nam dobitniej niż jakakolwiek obszerna praca o tym pisarzu, że obraz świata pokazany w jego wielkiej powieści jest ograniczony umyślnie. Proust nie zaspakaja istotnie naszej ciekawości na temat źródeł utrzymania opisywanych przez siebie osób. Zakłada z góry, że te sprawy są wiadome i rozpoczyna analizę myśli, gestów i czynów wykonywanych przez te osoby. „Czas utracony" chwyta jak czuła klisza widoki bardzo skomplikowane i precyzyjne, w „Czasie odnalezionym" czułe te klisze zostają wyświetlone na ekranie czasu i wtedy dopiero orientujemy się w żałosnej i okrutnej iluzji tego wspaniałego rzekomo świata, jaki nam pokazano tak dokładnie i drobiazgowo w trzynastu tomach po to, by go skompromitować ostatecznie w dwóch ostatnich.

Książka Prousta pomimo ogromnego rozgłosu zdobytego we Francji i w Europie przyszła do nas, jak zwykle wszystkie wielkie mody francuskie, zbyt późno. Boy, który wśród wielu swoich ogromnych zasług dla polskiej kultury, znalazł dość czasu, aby nam przyswoić całą bibliotekę klasyków francuskich: od Villona i Balzaca, do Verlaine'a, sporo czasu poświęcił właśnie moralistom. Nie myślę, bym bardzo się mylił, jeśli tu powiem, że nie widzę wielkiej różnicy w intencjach „Małych dialogów filozoficznych" Chamforta i w dialogach, jakie prowadzą między sobą postaci „Utraconego czasu" na przyjęciach u Guermantes'ów i u pani Verdurin. Chamfort przytacza powiedzonka i bon-mots z okresu ancien-regime'u, Proust pozwala wypowiadać swoim postaciom sprzeczne sądy o sprawie Dreyfusa i o wojnie 1914 — 1918 roku—obaj w ten sposób napomykają ironicznie o niedoskonałości urządzeń społecznych swojego czasu. Każdy okres ma takiego moralistę na jakiego zasługuje.

Dlaczego Boy do swojej ogromnej pracy przekładowej, którą prowadził przecież zgodnie z bardzo wyraźną linią — wystarczy, by się o tym przekonać, sprawdzić spis przetłumaczonych przez niego książek — włączył Prousta do swojej kolekcji? Myślę, że poza chęcią przyswojenia literaturze polskiej tej najwspanialszej książki, jaka została napisana od czasów Balzaca i Stendhala, działało tu również przekonanie o konieczności pokazania polskiemu czytelnikowi, jak wygląda kontynuacja klasycznej linii francuskiej prozy. Proust jest może ostatnim punktem tej linii — jej początek to „Pamiętniki" Saint-Simona i „Listy" pani de Sevigne.

Świetny przekład Boya objął niestety zaledwie część wielkiego cyklu Prousta. Jeśli dobrze pamiętam, wojna przerwała druk ostatnich dwóch tomów, które są kluczem całości. Są to dwa tomy „Czasu odnalezionego" w których zamyka się misternie splecione wieniec dzieiów upadku wielkiej arystokracji i wielkiego mieszczaństwa Francji. Podobno, jak mi mówiono niedawno z okazji ukazania się w „Kuźnicy" fragmentu „Czasu odnalezionego" w przekładzie Kazimierza Kossobudzkiego, Boy przełożył oba te tomy. Niestety, rękopis w okresie wojennym zaginął.

Nic więc dziwnego, że o Prouście głucho było w Polsce przed wojną, że nie dotarł on do czytelnika, choć wśród cienkiej warstwy intelektualistów, zwłaszcza tych, którzy znali często lepiej literaturę francuską niż rodzimą, Proust był symbolem doskonałości literackiego metier. Szersze jednak warstwy czytającej publiczności — powiarzam to raz jeszcze — nie mogły zaznajomić się z piętnastoma tomami tej nowoczesnej „Komedii Ludzkiej", z której, zgodnie z potrzebami czasu, zostało wyeliminowane to wszystko, co odpowiadałoby na pytania egzaminu, któremu dzisiejszy krytyk poddaje literaturę.

Co może dać dzisiejszemu czytelnikowi powieść Prousta? Proust, choć brał żywy udział w Aferze po stronie zwolenników rewizji słynnego procesu Dreyfusa, choć w roku 1898 podpisał nawet żądanie tej rewizji wysunięte przez „Aurore", co w jego ówczesnej sytuacji światowego kronikarza konserwatywnego „Figaro" nie było rzeczą bez znaczenia, oceniał prawa rządzące życiem społecznym jako prawa obyczajowe, zgodne z zasadami dobrego wychowania i uważał, że podział społeczeństwa na klasy jest rzeczą najbardziej naturalną. Proust wierzył w niezmienność struktury społeczeństw i był pewien, że człowiek, kierując się instynktem zdolny jest do wszystkich rzeczy złych. To co powstrzymuje go od popełniania rzeczy złych, to dobroć, która dla człowieka wykształconego jest formą wyższą od okrucieństwa. Aby skutecznie walczyć z instynktem wystarczy, według niego, poddać się jakimkolwiek prawidłom ustalonym, które w sumie tworzą cywilizację. Proust nie usiłuje nas bynajmniej łudzić widokiem szczęścia na ziemi. Nic dziwnego, skoro struktura społeczna jest niezmienna, skoro tylko cienka warstwa izolacyjna dobrych obyczajów dzieli nas od bestii! Szczęścia jako celu humanistycznego nie ma w dziele Prousta, szczęście rezyduje tylko i to rzadko w sztuce: szczęście płynące z sonaty Vinteuila z obrazu Elstira, ze zdania Bergotte'a. Wszystko, co nie jest sztuką, nie jest szczęściem.

Taki stosunek do świata musi być nam dziś już bardzo obcy, a zapewne dla następnych pokoleń będzie jeszcze bardziej obcy. Mógłbym, starając się uratować dla dzisiejszego czytelnika dzieło Prousta, oświadczyć, że sztuka jest bezinteresowna. Ale niestety, to nie jest prawda. Jak każda czynność ludzka, sztuka coś znaczy, coś zwalcza, czegoś chce, zwłaszcza literatura. Gdybyśmy jednak w okresie każdorazowych zmian, które konsekwentnie następują w społeczeństwach ludzkich i prowadzą nieuchronnie do większego szczęścia, zapominali natychmiast o obrazie czasu minionego, wówczas to do czego dążymy stałoby się ograniczone i ubogie. Jeśli znamy wady przeszłości, zwłaszcza w sztuce, nie mamy powodu się ich lękać. Proust nie odpowiada na te wszystkie pytania, które dziś są dla nas najważniejsze. Nie wynika jednak z tego bynajmniej, że Proust nie odpowiada na pytania, dotyczące np. doskonałości warsztatu pisarskiego, że podobnie jak tomy „Komedii Ludzkiej" nie przynosi nam tysiąca szczegółów obyczaju końca wieku XIX i początku XX. Niedawno dopiero przeglądałem listy pani de Sevigne i zauważyłem, że możnaby niektóre z nich wydać dzisiaj na tej samej zasadzie, na jakiej wydaje się powieści sensacyjne: myślę tu o tych listach, w których pani de Sevigne donosi swojej córce plotki obyczajowe i polityczne z Paryża i z Wersalu.

Lektura Prousta może się dziś odbywać wielostronnie, zależnie od tego, kto ją zamierza uprawiać. Wtajemniczony smakosz będzie sobie wyszukiwał uroki w zawiłości proustowskiego zdania, które w końcu być może najpełniej oddaje kształt i znaczenie przedmiotów, obrazów, strojów czy budynków. Moralista uważnie zakreśli sobie wszystkie partie ironiczne tego dzieła, wymierzone przeciwko światu, który z taką miłością został opisany dla smakosza. Literat znajdzie tu wielką szkołę „chwytów", socjolog czy ekonomista, pomimo braku konkretnych cyfr i danych, uzupełni sobie owe cyfry i dane, które zna z innych dzieł, obrazem psychiki proustowskich postaci. Cóż więc pozostaje dla przeciętnego czytelnika? Myślę, że przeciętny czytelnik powinien przeczytać to dzieło z obszernym komentarzem, w którym rozsądny krytyk uprzedzi go z góry o znaczeniu uroków Prousta, wyznaczy granice pomiędzy zachwytem dla rzemiosła i zachwytem dla ideologii, oceni dzieło ideologicznie, nie zapominając, jak się to dziś często zdarza, podkreślić jednocześnie zalety artystyczne. Rzecz jednak pewna, że przeciętny czytelnik powinien to dzieło przeczytać.

Nie jestem krytykiem i nie potrafię napisać tego komentarza, który proponowałem przed chwilą, a w który, według mojego skromnego zdania, winny być zaopatrzone wielkie dzieła dwudziestolecia europejskiego, poniechane dzisiaj dla dzieł innego, wcześniejszego dwudziestolecia. Postaram się natomiast zdać sprawę z wizyty, jaką złożyłem przed kilku tygodniami Marcelemu Proustowi. Nie była to rzecz

Marcel Proust

prosta taka wizyta, jakiej księżna de Laumes nie chciała złożyć księstwu Jena, jak o tym wspomina Proust w cytowanym przeze mnie liście do Foski. Nie była to wizyta towarzyska, jaką składamy znajomym, takiej bowiem nie mógłbym złożyć dla tej prostej przyczyny, że Marcel Proust, otoczony splendorem i zaszczytami, które przyszły już zbyt późno, uwieńczony nagrodą Goncourtów i zasypany listami z całego świata, w których czytelnicy „Czasu utraconego" wyrażali mu swój zachwyt i podziw, zmarł 18 listopada 1922 roku w Paryżu w domu przy ulicy Hamelin pod numerem 44 w wyniku długiej i przewlekłej astmy, a raczej jej ciężkich komplikacji.

Wizyta, jaką złożyłem Proustowi po wojnie, polegała na lekturze sześciu tomów jego korespondencji, wydanej już po śmierci pisarza przez Roberta Prousta i Pawła Bracha. Te listy, pisane nie mniej pięknie, niż niektóre najlepsze nawet stronice proustowskiej prozy, wysyłane były w ciągu wielu lat z rozmaitych paryskich mieszkań pisarza do jego przyjaciół, mieszkających również w Paryżu. Korespondencja zwłaszcza w późniejszych latach życia Prousta była właściwie jedynym węzłem, który go łączył ze światem współczesnym. Z przeszłością łączyła go życzliwa pamięć i bardzo precyzyjne wspomnienia.

Wydaje mi się, że zanim któraś ze spółdzielni wydawniczych zdecyduje się wreszcie kiedyś na wydanie, a raczej na wznowienie dzieła Prousta, zanim krytycy napiszą ów wymarzony przeze mnie komentarz, zanim dawni wielbiciele pisarza zorganizują się, aby dać odpór indeksowi, należy książkom Prousta jednać już dzisiaj jeśli nie entuzjastów, to w każdym razie świadomych czytelników. Dlatego też będę się starał po tak długim wstępie podać poniżej garść wiadomości, zaczerpniętych z korespondencji Prousta lub z prac innych autorów. Garść wiadomości, które by z jednej strony oświetliły nieco dzieje powstania tego wielkiego cyklu, jakim jest „W poszukiwaniu straconego czasu", z drugiej zaś wzbudziły nieco zainteresowania i dla dzieła i dla osoby autora.

II.

Marcel Proust urodził się w Paryżu w roku 1871. Jego matka, z domu Weill, była pochodzenia żydowskiego, co nie jest zapewne bez znaczenia dla dzieła Prousta, ani dla jego stosunku wobec wydarzeń politycznych, które go zaskoczą później (sprawa Dreyfusa). Leon-Pierre Quint, najlepszy i najsubtelniejszy znawca Prousta, pisze co prawda w swojej świetnej pracy („Marcel Proust, sa vie, son oeuvre"): „W jego (Prousta—przyp. mój) żydowskim pochodzeniu usiłowano znaleźć wyjaśnienie dla niektórych cech jego umysłu. Są to dedukcje teoretyczne, które niczego nie wyjaśniają. Umysł żydowski stworzył systemy, które są sobie przeciwne, teorie najbardziej ze sobą sprzeczne: na przykład intelektualizm Spinozy i intuicja Bergsona. Być może, że najbardziej charakterystyczną cechą Żydów jest odporność na cierpienie i śmierć. Czyż nie jest to jedyny rys rzeczywiście żydowski u Swanna, którego Proust maluje nam zupełnie zasymilowanego, podobnie jak on sam?"

Swann, bohater Prousta, jest postacią, która przesuwa się kolejno przez wszystkie tomy cyklu. Na nim Proust demonstruje działanie czasu, jemu przypada w udziale wtajemniczenie „ja" książek Prousta w arcydzieła malarstwa. „Ja" książek Prousta to oczywiście sam Proust, Swann jest zapewne po części portretem autora i po części portretem Charlesa Haasa. Był to człowiek bardzo znany w salonach paryskich i choć nie pochodził z arystokracji, miał wśród niej wielu przyjaciół. Pani de Clermont-Tonnere wspomina w swojej książce („Robert de Montesquiou et Marcel Proust"): „Wytworny i nonszalancki Edmund de Polignac tworzył kontrast z Haasem (Swann), który był wystrojony i „precieux". Haas naśladował podobno przed lustrem gesty i wieczorne rozmowy Polignaca. Widziałam Charles'a Haasa zaledwie raz tylko. Byłam bardzo młoda i wydał mi się wówczas bardzo stary, pergaminowa jakby skóra przyklejona do wielkiego semickiego nosa i ufryzowane włosy koloru pieprzu". „Co zaś tyczy się Swanna — pisze w innym miejscu pani de Clermont-Tonnere — to Proust widywał go u Edmunda de Polignac, ale Swann musiał być już wtedy stary". Wracając jednak do pochodzenia Prousta i do znaczenia jakie sam Proust temu przypisywał—zacytuję tu fragment z listu Prousta do Roberta de Montesquiou. W chwili, gdy rozpoczęła się sprawa Dreyfusa, Montesquiou, który był zresztą w przyjaźni z Proustem, chętnie mu dokuczał jego pochodzeniem. Proust napisał wówczas do Montesquiou list, w którym wyjaśnia dlaczego publicznie występuje po stronie zwolenników Dreyfusa. Oto list z roku 1899:

„Drogi Panie, nie odpowiedziałem wczoraj na Pańskie pytanie w sprawie żydowskiej. Powód tego jest bardzo prosty: jestem katolikiem, jak mój ojciec i mój brat, jednak matka moja jest Żydówką. Rozumie Pan, iż jest to powód dość ważny, abym mógł się uchylić od tego rodzaju dyskusji. Sądziłem, że okazałbym Panu więcej szacunku, gdybym odpowiedział listownie zamiast odpowiadać Panu na to pytanie bezpośrednio wobec świadka. Jestem bardzo szczęśliwy, iż nadarzyła się okazja, która mi pozwala powiedzieć Panu to, czego nigdy nie zamierzałem Panu mówić. Gdyż wobec tego, że nasze poglądy różnią się między sobą, lub raczej wobec tego, że nie jestem tak niezależny, bym mógł na ten temat mieć pogląd taki, jaki bym, być może mieć pragnął, mógłby mnie Pan nieświadomie dotknąć w dyskusji. Nie myślę tu oczywiście o rozmowach, które miałyby miejsce tylko pomiędzy nami dwoma i w których zawsze będę z zainteresowaniem śledził Pańskie poglądy na temat polityki społecznej, jeśli mi je Pan przedstawi, nawet i wtedy, gdyby powody wyższego znaczenia przeszkodziły mi je z Panem dzielić.

Pański Marcel Proust"

Czytelnik zdziwi się, że ton tego listu jest tak łagodny, a uczucie zniewagi zostało zamaskowane w misternych zwrotach grzecznościowych. Trzeba tu wyjaśnić sytuację autora listu i adresata. Uczynię to za chwilę, tymczasem chciałbym powrócić jeszcze do tak mało znanej u nas biografii Prousta. W roku 1889 Proust kończy liceum i mając lat osiemnaście zgłasza się jako ochotnik do wojska. Służy w Orleanie, jego słabe zdrowie skłania go do pogłębiania intelektualnego tej służby. Proust interesuje się strategią. Te młodzieńcze zainteresowania nie będą bez pożytku. W kilkanaście lat później Proust wykorzysta je dla uzupełnienia portretu Saint-Loup, jednego z bohaterów cyklu, jak również dla wielu uwag na temat wojny 1914—1918, której echa silnie dźwięczą w jego powieści, a raczej w jej ostatnich dwóch tomach.

Po ukończeniu służby Proust staje przed zagadnieniem wyboru zawodu. Poprzednio już miał do czynienia z piórem, napisał „Portrety malarzy", które odnajdziemy potem z kolei w tomie „Les Plaisirs et les Jours" (nietłumaczony tom drobnych szkiców i próz). Proust wybiera karierę literacką. Ale doktór Adrien Proust nie godzi się z tym wyborem. Marcel ustępuje ojcu i zapisuje się na Sorbonę, na wydział prawny oraz rezygnując z kariery dyplomatycznej, którą pragnął wybrać dla niego ojciec, staje się również słuchaczem Szkoły Nauk Politycznych. W pewnej chwili Marcel zaczyna myśleć o karierze urzędniczej: „Czy urzędy nie są zajęciem zbyt pogardzanym?" — pyta Proust w liście do swojego przyjaciela, Robert de Billy — „Cóż mi pozostaje, jeśli nie będę ani adwokatem, ani lekarzem, ani księdzem?"...

Prawo rychło go nuży. Wychowanie otrzymane w liceum Condorcet dało mu podstawy zainteresowań filozoficznych i smak wielkich filozoficznych teorii. W ten sposób Proust na Sorbonie styka się z filozofią Bergsona, która wywrze tak wielki wpływ na jego dzieło. W dodatku Bergson poślubiając pannę Neuburger, staje się jego krewnym. Stosunki osobiste pomiędzy filozofem i poetą zacieśniają się w ten sposób jeszcze bardziej. Oto, według Quinta, źródła myśli o czasie, tak wspaniale rozpracowanej w „Czasie utraconym".

Pierwszym pismem, gdzie Proust współpracuje, jest „Le Banquet", powstały w salonie uroczej pani Strauss, wielkiej przyjaciółki Prousta, z którą autor „Utraconego czasu" utrzymywał długą i obszerną korespondencję prawie aż do dnia śmierci. Oboje byli w latach późniejszych ciężko chorzy i nie udało im się nigdy spotkać: „Nasze rozkłady chorób mijają się ze sobą" — pisał Proust żartobliwie i melancholijnie do pani Strauss.

„Le Banquet" był jednym z wielu pism, jakie powstawały w owych latach dziewięćdziesiątych i trwały krótko, choć składały się wówczas z utworów pisarzy, którzy potem stali się sławni: Proust, Gregh, Barbusse, Leon Blum, de Flers—oto współpracownicy „Le Banquet". Proust zamieszczał tam portrety dam z wielkiego świata, rozważania i noty o książkach, o obrazach etc. W roku 1896 wydaje Proust niewielką plakietę: „Portrety malarzy", w kilka miesięcy później „Les Plaisirs et les Jours", z pochwalną przedmową Anatola France'a. Po śmierci ojca, w roku 1903 Proust odziedziczył pokaźny majątek i postanowił ostatecznie poświęcić się literaturze. Znaczy to jednak tyle samo, co zerwać z życiem światowym, na co Proust nie zdobędzie się jeszcze przez wiele lat, mimo, iż ma pełną świadomość, iż to życie jest w istocie puste i błahe. Wystarczy przypomnieć sobie scenę z pewnego fragmentu „Les Plaisirs et les Jours", w której Proust wypowiedział ówczesne swoje mniemanie o znaczeniu samotności. Zanim jednak zamkną się za nim drzwi korkowego pokoju na bulwarze Haussmann, w samym sercu eleganckiej dzielnicy Paryża, będzie się jeszcze długo przypatrywał salonom, jak uczony, który cierpliwie przygląda się preparatowi przez mikroskop, nie dlatego, że sprawia mu to przyjemność, lecz jedynie po to, by odnotować w swoim dziele wszystko co obserwował.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Paweł Hertz

SZOSA, która wiodła przez Kalinów do Warszawy, nie prowadziła przez przysiółek. Gnały po niej ciężkie motory handlowe, motocykle, ale żaden z tych pojazdów nie zajeżdżał w stronę Bialiny. Wskazywała wprawdzie ręka, którędy bliżej na Kalinów, i tę poleciła uczynić rada gminna, której cnilo się bez ruchu, lecz koła sunące po hucznych szlakach wielkiego życia nie zatrzymują się przy byle słupkach. Szerokie, bezpieczne bankiety o b ało malowanych hektometrach, korzyst'ne serpentyny, jezdnia wyżwirowana przez dbałych dróżników, — o-to co neci zadyszany w pośpiechach motor.

Dlatego dróżka bialinska zbiedniała od tej niepamięci, zapadła się, zaklękła.

Lazł po niej chłop wędrowny, dziad wszawy, lub państwo ze dworu w staroświeckiej bryce o bułanych, cugowych ogierach. Wczas deszczu nawet i to nie. Wtedy na dróżkę wychodziły wieprze, wystawiały swe ryje i wtedy przed oknami sekretarza strasznie trzęsły się drzewa. Bardzo to były smutne chwile i bardzo wygwizdywane przez wichry. Wtedy zazwyczaj wzbierała rzeczka i jak żubrownie rogożyńskich młynów tak drżały mostki bialińskie.

Raz zajechało do Bialina auto, wrzawy narobiło wielkiej. Szofer w zamiarze poczynienia jeszcze większej sensacji warczał na swym motorze, dzwonił klaksonem, dymił, aż wyszli z progów starcy wsiowi i baby z dziećmi na rękach. Potem coś przetkał, przedmuchał, narobił jeszcze więcej dymu i pojechał z państwem za góry.

Nikt nie wiedział, poco to auto przyjechało do wsi, dlaczego odjechało, czego chciał ten fifant z daszkiem wywróconym do góry... A jak przyjechała do wsi furmanka, to każdy odrazu wiedział, dlaczego, co, jak, gdzie, poco, naco. Czy aby nie do tego, co kości zestawia, czy aby nie do stryjnej, co raka ma, a jaka tam rędzina, jakie margle, i dlaczego wujenka nogę przestudziła. Nie tak, jak to przy aucie, gdzie ani do kogo przemówić, ani kogoś za rękę podjąć, ani komuś z niejaką serdecznością w oczy zajrzeć.

Dlatego zapewne z zemsty chłopcy bialińscy wychodzą nocą aż na sam szos kalinowski i tam przekłuwają gwoździami opony aut. Że do późnej nocy komendant posterunku po wsi chodzi, brzydko się odgraża. „Ty taki, ty owaki, nie wiesz, co cię spotka? Pojedziesz do Kalinowa, gdzie murowany więzień jest Tam cię smarować nie będą. Zobaczysz, co porządek we świecie oznacza!

Dziwiła się nieraz Hania od sekretarza, za czym tak ludzie światami jeżdżą, dlaczego nigdy w miejscu nie zagrzeją, ale nie powiedział jej tego nawet pan jej sekretarz. „Na kanapie leżał, sam do siebie gadał, na gazecie zasypiał, z nauczycielami się przemawiał, do wychodka się bez książki nie ruszył, ażeby choć tyle wiedział, co sam zjadł..."

Tak mówili ludzie ale sami wiedzieli tyle, co zjedli.

Dowiedziała się nieco później, wtedy, gdy na drodze pojawiło się trzech ludzi, którzy żyli z bawienia świata komediami: podróżnych, których nazwiska nie będą zdobić ważnych cieśnin, szczytów gór, ani ziem arktycznych zawierających tajemnice kruszców i atmosfer.

Pewnego bowiem dnia do Bialiny zjechało trzech obieżyświatów: jeden w cielistym trykocie emigrant, co mówił wciąż: „Da, da", drugi Czech, bo mówił: „Ja jsem", trzeci Hiszpan w hiszpańskim kostiumie.

Przyszli do sołtysa, uzyskali pozwolenie i zrobili takie widowisko: jeden w cielistym trykocie emigrant położył się na wznak na szkle i krzyczał, że boli, ten Czech stanął na jego wyciągniętych rękach, — brodacz tylko dziwował się, zbierał jajka, śpiewał piosenki do wtóru gitary.

Potem, ponieważ widzów było niewiele, poczęli bić w tamburyn, wołać „Ałła dralła, ałła dralła", aby zwabić gapiów, ale chłop bialiński nieufnie jest usposobiony do nowości, więc obieżyświaty odjechali z niczem. Pożegnano ich milczeniem, pełnym tak nieufności, jak i klątwą, pełną zastanowienia. Zastanowienia, gdyż po odjeździe trupy wieś już wiedziała na pewno, gdzie podziały się dwie kury, z których jedna była znaczna.

Wieczorem do drzwi sekretarza zapukał jeden z wędrownych i poprosił o listr mleka.

Służąca zrazu chciała artyście podać „Banga" jako przyczynę skąpego udoju, ale dojrzawszy tego w cielistym trykocie, otwarła drzwi.

— My nie pojechali jeszcze, bo ciemno a w Rogożynie, co robić obcym o zmroku? Światła gaszą, władza na plantach spac nie da... Wy nas przyjmijcie, bo my nie żadni złodzieje. Ja jestem Rumun Andriusza Tichonescu. U mnie papiery, wszystko, da, da.

Hania podała mu przez okno butelkę z mlekiem, ale gdy sekretarz zabronił przyjąć pieniądze, komediant rzekł z radością:

— Ja nie żebrak, doczko, ja emigrant.

— Emigrant — zawołał się sekretarz. — To prowadź ty mi jego tutaj!

— Tak jest, że emigrant — powiedział Tychon stawiając rower w sieni. — My trzej jesteśmy emigrantami. Ale ty także jesteś emigrant, panie sekretarzu. Nie myśl, że tylko my jesteśmy emigranci.

— Ja emigrant? — aż podskoczył sekretarz.

— Emigrant i człek z duszą — powiedział ów Hiszpan potrząsając brodą.

— Serdeczny człek z duszą, tak jest, tobie się słusznie należy ten przydomek — rzekł Tychon, uśmiechając się... — Ja zaś jestem Tychon Piotrowicz, włóczęga. Jeśli ciebie to obchodzi, kto oni, to ten Vlastimil Zaufal też jest włóczęgą, a ten trzeci Mamak — Hiszpan także.

— A droga dokąd? — aż zaśmiał się sekretarz.

— My idziemy do Sztokholmu. Tam my mamy się spotkać z jednym marynarzem. On dał nam znać przez jednego takiego, co krypą jeździ do Gdańska. A potem przez Bałtyk na Indochiny, Malaje, precz do Polinezji.

Sekretarz już zupełnie zbaraniał.

— Upiliście się?

— Tak my upici jesteśmy — zaśmiał się drwiąco Brodacz.

— Upici, bo jakże? Przede wszystkim rozporządzenia są ostre przeciw włóczęgom. — Starostwa nakazują bardzo surowo odstawiać każden męt. A granic to nie ma? Jak płotów przecie... Pasa przecież nie macie. Pass macie?

— Pass?

Hiszpan odsłonił swe ramię i pokazał tatuaż przedstawiający dwa skrzyżowane sztylety.

— Ależ, przyjaciele, przecież to po drugiej stronie globu.

— Ja nie wiem, że to po drugiej stronie globu, ha, ha — zaśmiał się Hiszpan. — Ja nie wiem? Nie wiem, ja...

Potem odsłonił nogawkę i pokazał na łydce taki sam tatuaż tylko w innym kolorze. — Nie wiem tak, ja nie wiem — powiedział. — Pan tylko pewnie wie, bo pan ma atlas. — Tu zaśmiał się do swych kolegów i oni też uśmiechnęli się.

Sekretarz potarł nos w zamyśleniu i spojrzał w okno.

— Straszny kawał, kupa świata. Ja nie wiem, jak wy się tam dostaniecie. Pewnie podchmieliliście sobie. Proszę, może po jednym „cymbale"...

Tychon odsłonił firankę i ukazał podbródkiem bielejącą w głębi szosę.

— Ja nie palący, oni też nie. A ta droga pewnie przez Kalinów na Sandomierz.

— Droga? — westchnął sekretarz. — Ona jest na Warszawę, ale może być także na Sandomierz, Stopnicę, Baranów.

— Ładna droga, świeżo bita. Państwowa droga. Pewnie na Cop...

ZYGMUNT FIJAS

ŚPIĄCY POŚRODKU MORZA

(FRAGMENT POWIEŚCI)

— A tak właśnie. Jeszcze nawet nie otwarta.

— My ją otworzym jutro bez taśmy i bez wojewody.

— Tak, my ją otworzymy — powiedział ten Mamak brodacz, przezywany Hiszpanem i zaśmiał się. A kiedy sekretarz zwrócił głowę ku temu w cielistym trykocie, Czech dodał: — Że ano, mi ją rozewrzemy, ten szos.

Sekretarz spuścił głowę.

— Ja już teraz wiem, co wy za jedni.

Mamak rozwarł okno od podwórza jakby nie słysząc, i ukazał gnojownię, na której leżało złamane koło, zbutwiały orczyk i zdechły pies z wyszczerzonymi zębami.

— A to jest twoja ojczyzna?

— Twój kraj — dodał Czech ze smutkiem.

— To moja droga, ze starostwa tu, i stąd do starostwa. Jak by piasku do oczu nasypał.

— Da, da, nu wiadomo...

Tak rozpoczęła się sprawa komediantów w Bialinie.

Hania w ciągu nocy musiała dwa razy biegać do karczmy po piwo i samogon, dziwiła się, jak to można przez całą noc rozmawiać, a nad ranem sekretarz uścisnął serdecznie rękę Tychona i powiedział: Tak jest, my czterej jesteśmy obywatelami drogi.

— Ja już ledwo próg przestąpił, już wiedział jaka z tobą jest okoliczność — powiedział Hiszpan. — We czwórkę raźniejsza sprawa. Pogoda w sam raz.

— A co powie starosta, kto urząd zda? Powiedzą, że okradłem państwo.

— Państwo — zaśmiał się Brodacz. — A ciebie państwo nie okradło z życia? Ty tak: jak jeden Teodor z Rogożyna. On teraz koszyki plecie, ryby łowi, grzybki zbiera pod kościołem. Szkoda jeszcze, że nie polawia szczurów. On mówił: — Ja tak dalej nie pójdę, szkoda nóg. Tu w Rogożynie mnie pochowają, tu jest moja obczyzna, wśród swoich.

— Da, da — powiedział Tychon — obczyzna.

— Że ano — potwierdził Czech.

— Ale ty, jeśli chcesz naprawdę rzucić, to — tu Mamak uczynił taki ruch ręka, jakby chciał powiedzieć: — Tak, jakbyś się już powiesił dla nas.

I tak poszedł sekretarz z komediantami.

Gdy nie wrócił do trzech dni i gdy już komisje zjechały, aby zbadać czy nie ma jakiej krzywdy dla państwa przez kradzież, albo jakieś inne łajdactwo, i gdy pieczęcie zdjęli, śmiech ogarnął całą Bialinę.

— Na kanapie wciąż leżał — mówili — ręce wyłamywał, pieniądz rządowy miał, kury jadał a z lechmanami się połączył.

— Do słońca się wygrzewał, płatki różane smażył a świniaby się w izbie oprosiła.

Ale inni też mówili: — Serce miętkie miał, każdemu rękę podał, grzecznym człowiekiem był, tego nie mogę powiedzieć. To nie to, co major rezerwistów w Rogożynie. Przychodzę: — Co to?, panie sykretarzu, pan modli się?— Nie, czytam, cni się. — Ano to pewnie jakie inne plany, pan nas pewnie zamierza porzucić? — E, nie, sama głupota. — To poco czytać? — Ano tak — powiada i za okna się obziera, czy kto nie jedzie znaczniejszy, — a na oknie smalec topiony, masło, kwiatki. A może go sumienie gryzło, że z chłopa siódmą skórę drą na życzenie starostwa..

Tak kończyła się sprawa sekretarza w Bialinie, we świecie zaś zaczęła się tak:

Drogą szło czterech ludzi, z których jeden mówił: Ja jsem, drugi mówił: Da, da, trzeci nic nie mówił, czwarty zaś mówił sam do siebie. Ten czwarty koło kowala obrócił swą twarz, aby go nie rozpoznano, ale za dawną rogatką już nie zważał na nic.

Szli tak pomiędzy opłotkami rozmawiając ze sobą. Dopiero w rynku Hiszpan pokazując studnię rzekł do sekretarza: Taka waląca się studnia, ha, takie miasto, taki drewniany ratusz, jak drewniany wychodek. W Polinezji nie będzie takich ratuszów, nie będzie się marnowało tyle kwiecia lipowego, wyzyska się naturalny spadek wód.

Sekretarz nie powiedział nic, dopiero pod „Brunatnym Jeleniem" powiedział: — Tak dalej być nie może, musi być inaczej. A jakże...

Śmiechu było wiele, bo gawiedź podpatrywała komediantów przez dziurkę od klucza, ale Tychon rozpędził gapiów stołkiem. — Dalej precz, śmierdzące drobnomieszczaństwo — wołał — precz do swego stawu, do żab, do ślimaków! Huzia, huzia!

Potem pod studnią Brodacz ścisnął szyję dłonią, spojrzał ponuro na balkony poobwieszane pierzynami i rzekł: Stąd wyruszył stryj Teodor na rajzę. Tu wrócił, aby gnić. Teraz koszyki plecie, grzybki zbiera pod kościołem, drzemie w rogożyńskim stawie. Ale my nie zgnijemy!

— Nie! — odparli zgodnie komedianci.

— Bo życie ma głębszy pozór! — dodał jeszcze Brodacz..

— Głębszi pozór! — powtórzył jak echo Czech.

— Głębszy! — powtórzył jak echo sekretarz a studnia oddała dźwięcznie głęboko: — Yhyy.

Stryj Teodor stał wtedy na gościncu z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, zaś Michaś Diogenes kreślił figury w pyle.

— Dokąd idą znowu, głupcy — sierdził się stryj — za własnym cieniem? Szukać Polinezji, gdy tu na miejscu należy sobie zrobić Polinezję, żeby wychodki nie śmierdziały, żeby burmistrze przestali robić „majlant" na obywatelach. A Polinezja leniuchów, Matterhorn? — Stryj potarł podbródek. — Matterhorn? — tu w pięcie mam Matterhorn.

Dwa miesiące temu na szosie prowadzącej z Kalinowa do Rogożyna stanął wędrowny stroiciel fortepianów i dróżnika poprawiającego pryzmy żwiru pytał o drogę do miasta. Dróżnik wskazał bialiński obiaz, poczem z ukosa przyjrzał się aksamitnej torbie wędrowca. Wędrowny chudy jak śledź, z policzkami pokrytymi zielono-szarym meszkiem, jakby dopiero co wyszedł, lub oddawał się przez długi czas postom, rozwarł torbę, wyjął z niej kawałek sera i poczęstował nim dróżnika.

— Myślałem, że to jakie gazety, pisma, albo książki a to w torbie jedzenie — powiedział ze zdumieniem.

— Nie samym słowem człowiek żyje, trzeba też jeść.

Dróżnik dopadł ręki wędrownego, biorąc ją za rękę kleryka wracającego na wieś albo zakonnika, ale wędrowny odepchnął go.

— Nie jestem, człowiecze, urzędnikiem kościelnym, ani dziedzicem — powiedział. — Całować człowieka po rękach? O biedny, chłopie!

Dróżnik zaśmiał się.

— Niech Bóg prowadzi — rzekł głośno a w myśli uśmiechnął się jeszcze raz.

Stroiciel zboczył na dróżkę bialińską i stanął przed sekretarzem, który go wziął zrazu za egzekutora, a potem za agenta ubezpieczeń. Chciał coś rzec, ale na widok aksamitnej torby wędrowca zniżył brwi.

— Skądś pana znam — powiedział przymykając oczy.

— Znasz mnie dobrze. Ty jesteś Dębala Stanisław z ostatniej ławki koło pieca. Ty wybierałeś się z wyprawą do Kordylierów. Zbierałeś wtedy mapy, ja znaczki. Sądziłeś wtedy, że tam na szczycie znajduje się jakiś nowy rękopis biblii, bo ta, której nas uczono, była nię dla wszystkich.

— Wujcio Kłodzio.

Po ustach wędrowca przebiegło lekkie drżenie.

— Tak, wujcio...

—Jesteś głodny?

— Nie, nie jestem głodny. Sigibertus w Kronice powiada, że jedna dziewczynka przez siedem miesięcy żyła tylko chlebem a później przez cztery lata nic nie włożyła do ust. Ale ty nie czytasz takich baśni, boś jest mądry już.

Sekretarz spochmurniał.

— Nie czytam takich baśni.

— A czego chcesz? Chcesz góry wywracać? Oczyść nasamprzód własne obuwie i swego bliźniego, ździebło wyjmij ze swego napiętka, bo ci wyziera.

Sekretarz jeszcze bardziej spochmurniał.

— Ha, ha — począł dumać wcale nie słuchając.

Stroiciel podniósł dłonie jak kapłan.

— Biedny ś ty, skoro nie umiesz czytać w ludzkich snach, one najlepiej mówią, czego człowiekowi brak.

Sekretarz trzepnął niecierpliwie palcami i rzekł do Hani, która właśnie stłukła jajo: — Czego płaczesz, że się jaja tłuką? Ten umysł postradał, mógłby być pożytecznym społeczeństwu i czy kto z tego powodu płacze?

Hania pochyliła się, aby pocałować stroiciela w rękę, ale sekretarz ofuknął ją: — Dokąd będę cię odzwyczajał od tego niewolnictwa?

— Pewnie kleryk...

— Umysł mu zupełnie zmarniał.

Sekretarz długo jeszcze patrzył na postać stroiciela majaczącą wśród opłotków. Wreszcie przeniósł spojrzenie na tablo, odnalazł na nim twarz stroiciela i łza spadła mu z oka.

— Widzisz, Haniu — mówił — tak wszyscy się wciąż męczymy i co komu z tej męki? Tyle, co z zeszłorocznego śniegu. Zdolny chłopak, śmiały umysł... I zaplątał się jak pająk we własne sieci.

Stroiciel szedł w stronę Rogożyna. Już za płotami Nieświerzowa otarł czoło z potu i począł ogrodnika zapewniać o łaskawości losów. Lecz ogrodnik wyjął z ust gwóźdź, gdyż naprawiał płot i począł siekierą bić tak namiętnie, jakby go nie obchodziło nic na świecie.

Stroiciel pobłogosławił prosię, które dogorywało na kupie mierzwy, rzucił mu glonek sera i poszedł w stronę miasta śpiewając.

Pod rudziejącą jeszcze resztkami zeszłej jesieni buczyną podniósł ramiona.

— Boże wielki — modlił się do zdymionego, rosnącego słońca — Boże tonący w mgłach! Wielbią cię teraz buki śnieżne, chmury gasnące, wielbi cię bieda sekretarza i topór ogrodnika... Wielbi, Cię, Boże, ziemia gotująca się do wiosennego połogu, chwali cię połóg zmierzchu.

Tak pomodliwszy się wszedł w olszynę, za którą rozciągały się bruzdy rogożyńskich zagonów. Latały już nad nimi wrony oszczekiwane przez wieczorne psy.

Rogożyn wtedy stał na granicy przesilenia. Gdzieś bowiem po środzie popielcowej, kiedy na miasto osiada wielkanocny wyrzut sumienia, całe niebo wieczorne zazieleniło się pomarszczonymi wstęgami chmur. Wtedy wszystkie dachy, osiadły, zaklękły i rozblajdany śnieg jął kidać z nawisłych rynien.

Wówczas Rogożynianie poczęli wyglądać ku południu przez dymniki, wróżyć z reumatyzmów, z piania kogutów i że to już wiosna orzekli, jak jeden mąż.

Stroiciel obszedł kilkakrotnie miasto, przyglądał się zamiataczom opartym o miotły bezczynnie, kiwał nad Jędrzejem dorożkarzem śpiącym nad miską jadła, zganił piekarza drzemiącego na progu z ręką uwalaną po łokieć w cieście i wreszcie na Zarzecznej pod mydlarnią burmistrza rzekł do stryja Teodora: — Niczym to miasto nie różni się od innych miast w Europie. Taki sam zaduch i marnotrawienie rąk ludzkich. Ale uderzę w nie, jak piorun w słup Seleucji i rozkurzę je na cztery strony świata. Nie potrzebuję do tego ani pieczątek, ani lustratorów, ani komisyj.

To powiedziawszy udał się do Matyldy Pokornej i rzekł do kilku handlarzy popijających z przyczyn zmiany pory roku: — Jaki jad sączycie z tych kielichów, nędzni głupcy? Czy już na nic postradaliście zmysły i nie widzicie, co się dzieje we świecie? Czy usypiacie się rozmyślnie, czy też nawet nie wiecie, że śpicie pośrodku morza?

Handle odstawili swe kufle i spojrzeli na stroiciela ze śmiechem.

— Co blajtasz, telemoku?

— Porzućcie to płoche narzędzie zbytku i rozkoszy — powiedział wyciągając klucz od fortepianu — zatrzaśnięte są wasze dusze, jak chlewy, jesteście jako śpiący pośrodku morza i jako żeglarze zgubiwszy wiosła. Tak mówił Salomo w Przypowieściach i poco to mówił?

A w przyległej izbie grał w karty burmistrz z aptekarzem. Rozpoczela się więc chryja.

— Idź pan stąd, myślicielu z kociej wiary— powiedział już z gniewem ojciec miasta. — Idź mi w te pędy, bo stójkowego przywołam bezapelacyjnie! Idź mi pan tam do Kalinowa do więzienia rozsiewać komunistyczne miazmaty, ajencie moskiewski!

Stroiciel skierował ku niemu dłoń, lecz kelner, który był na usługach tajnej policji i znał tajemnice przewag, wyłamał mu palec.

— Coraz więcej wałęsa się po świecie mętu bez żon, bez ideału, bez stałego miejsca zamieszkania — syczał ojciec miasta jak syfon. — W biały dzień syn poważnej rodziny rzuca miasto, bieży szukać na gościncu piątego koła aby, co? lechmanić, putać dorobek ojców. A mówiłem, panie Zenonie, mówiłem do Teodora: — Tedzió, tu za Bialiną jest kamieniec nie duży, woda go ciągle zalewa, Jankiel mleczarz sprzeda go za bezcen. Kupimy także te stare budki po mydlarzu, który się obwiesił. Nie wstydźmy się ludzi. Towar nie śmierdzi. Tedzió nie. Tedzió z książeczkami pod pachą, Tedzió z cyganami pod wierzbami rozmawia, Tedzió nie. Życie ma głębszy pozór. Poziór, panie święty, ma. Masz pan teraz jego pozór. Grzybki się zbiera pod kościołem, wstyd się burmistrzowi przynosi, rodzinę się naraża. Rodzina, Karol Boromeusz majorem nawet wnet zostanie dyplomowanym, ha, ha!

Stroiciel wtedy stał pod studnią i wesoło grał na kamertonie i zbierał tłum. Gdy już na rynku zebrało sie conajmniej pół Rogożyna zawołał: — Uważajcie, ludzie, nie dajcie się wywieść w pole. Powodem tak rozlicznych nieporozumień jest zbyt wielka ilość gam, dla których podstawowym tonem jest „a", rozumiecie? Nie miejcie w nienawiści jeden drugiego, już siekiera zostaje przyłożona do korzenia, już wnet będą wolni heloci i murzyni! Jesteście jako spiący pośrodku morza!

A w tłumie stała pani Antonina Sciborska, zenonowa żona, której podobał się taki zgiełk w mieście. Już chciała podejść i poprosić stryja, aby wieczorem obaj przyszli do niej tajemną furtką, już drżała nawet z przyszłej emocji, gdy kamień puszczony z procy trafił ją w szyję.

Stanęła przeto za kioskiem i stamtąd obserwowała przebieg zajść.

A zajścia były groźne:

Naprzód krawiec Igiełka wyprowadził chłopów z tartaku i jął ich szczuć na stroiciela, potem stryj począł bić krawca Igiełkę, Pinio poszarpał spodnie sekretarzowi Wawinkiewiczowi, aż wreszcie burmistrz, który śledził całą scenę zza firanek rzekł do komendanta policji: — Idź pan czym prędzej i zrób pan porządek z tym narodem, bo ledwo już stoję ze złości. I jak będę wyglądał na Święcie Konia?

Komisarz podkręcił wąsa, bo mu się podobał taki ruch w mieście, ale rozkaz wydał.

Więc jeszcze większa chryja, w wyniku której rozbito rabinowi szyby i w bóżnicy podpalono snopek słomy.

I zajścia te byłyby się stały zaczątkiem jakiegoś smutniejszego zarzewia, gdyby na drugim końcu miasta nie rozległ się bęben. To woźny począł ogłaszać nowy środek na zarazę u kur.

Tej nocy Rogożyn huczał wiosenną dmuchawicą, grzmiał, trzaskał bramami, połyskiwał księżycem mknącym. Potężny napór wiosny rozdarł mnóstwo zetlałych płotów, zwalił kilka dachów, roztrząsł na nic wszystkie kramy na rynku.

Tej nocy aptekarzowa mówiła do męża: — Wiosna idzie, Zenonie. Moja czterdziesta druga i twoja czterdziesta ósma. Razem dziewięćdziesiąt wiosen, z których cóż?

Pan Zenon tarł maść pistelem i jakby nie słyszał.

— Tak przemienia się wiosna, Zenon. Jednego roku jest bardziej dżdżysta, drugiego roku jest bardziej wietrzna. Tam, czytam, ludzie bawią się na Florydzie a my rzeczywiście, jak śpiący na dnie morza.

Pan Zenon zaśmiał się.

— Na dnie morza? Wczoraj grałem ci przepiękne wariacje na klarnecie, mówiłaś, że nudne. Nudne, taak, spałaś.

— Ale czy ty kiedy czynisz co z takim zapałem, jak ten żarliwy wędrowny.

— Stroiciel?

— No, choćby nawet.

— Ten pomylony wariat?

Aptekarzowa rzekła już nieco innym głosem, nie tak piersiowym: — Wariat, tak wariat, tak wariat, może i wariat. — Po tych słowach podniosła brwi i dodała: — Wszystko jedno, czy wariat. Ty nie umiałbyś zwariować. Ciebie najwyżej by żołądek rozbolał.

— Żołądek, naiwna kobieta?

— Zupełnie nie rozumiem, co on mówił. Napewno bredził, ale dreszcz inną wstrząsnął. Bo czyż rzeczywiście wszyscy nie jesteśmy pogrążeni na dnie oceanu.

— Coś starasz się powiedzieć, jakbyś się nie wyspała... Tesiuń!

Pani Antonina przetarła piąsteczkami oczy.

— Możliwe, że nie wyspałam się. Taki wicher? Pewnie nie wyspałam się. — To mówiąc zdjęła z nosa ziarnko gorczycy.—Znowu Finowie wygrywają pierwsze miejsca na skoczniach, znowu jakiś Szwed ustalił rekord w dysku... a u nas? jak w Azji.

Aptekarz począł nucić.

— Dlaczego śpiewasz, Zenu, rozmawiaj ze mną!

Aptekarz pochylił głowę i zagwizdał.

— Dlaczego gwizdasz?

— Dlaczego gwizdam? — tu pochylił głowę jeszcze bardziej i śledząc zukosa ruchy pistela począł poruszać koniuszkiem języka.

— Bo śpiewam i gwizdam.

Potem korzystając z nieuwagi żony napełnił kubek jakąś cieczą, od której przypłowiał w oczach.

— Czterdziesta ósma wiosna, przyjdzie jeszcze czterdziesta dziewiąta, pięćdziesiąta a my cóż mamy robić? Góry wywracać, kobieto? trzeba jednak poruszać pistelem, rąbać drwa, handlować pigułami, bo co?

Z kolei nie słyszała ona. Korzystając z nieuwagi męża wypiła kielich tej prawie wielkości, co fioletowy nos męża.

Po przeciwległej stronie szamotały się z wichrem stare zbutwiałe rudery. Strzępy afiszów wyszarpywane przez krótkie podmuchy flajtały obmierzle jak skóra na zdechłym psie sekretarza.

— Może masz rację, musiałam zjeść coś niestrawnego. Zawsze mnie opadają jakieś takie myśli, kiedy mi coś na żołądku leży.

Pan Zenon już nie słyszał. Siedział na fotelu z głową zwieszoną, chrapał. Wreszcie znienacka kichnął, jakby chciał obalić kilka jeszcze dachów Rogożyna i odpinając szelki począł się zbierać.

— Wiosna, wiatry, w kościach łupie. Nie ma to jak na Florydzie. A ze wszystkim do bani olejowej! Do baniii! — ryczał jego głos jak grom w wąwozach.

W taki czas przybył do miasta cyrk wędrowny. Psy jakieś dziwne morągowate, to znowu gołe jak świnia, to znów włochate jak owce. Konie też ogromne o kopytach dużych jak bochen chleba, to znowu małe o sierści lśniącej, lub jakby pokrytej szronem.

Wśród zwierząt krzątają się jacyś ludzie odziani sposobem nietutejszym: w jakieś kaszkiety o skórzanych daszkach, jakieś irchowe spodeńki, jakieś pasiaste kombinezony, albo nawet kąpielowe majtasy. Mamrocą, coś do siebie, kłócą się ze sobą a szef tego biednego włóczęgostwa nawet po polsku nie umie. Kaleczy język w jakiejś międzynarodowej mowie.

Cały Rogożyn wyległ do tego sadu, gdzie krzątała się ta cała zbieranina. Nawet starcy o żółtych wąsach, nawet powstaniec z 63 roku, nawet ulicznica Józia. — Wreszcie dla biednego narodu będzie jakiś festyn — powiedział Teodor. Zima psiakrew była jak na Syberii, czas już na wesołości.

Aptekarzowa nie mogła ustać na podwórku. Opatulona w niebieski szal kaszmirowy, wyszła daleko za krzewy agrestu i patrzyła jak cyrkowcy rozkładają swój sprzęt. Na dźwięk mowy zagranicznej aż pokraśniała. — To wy nie jesteście tutejsi? — powiedziała po francusku.

— Nie! — odparł cyrkowiec czerwieniejąc ze wzruszenia. — Ja jestem z Arles.

— Z Arles? — omal nie podskoczyła.

— Ale u nas nie wszyscy są z Arles, — mówił cyrkowiec wykręcając nogę w kostce jak panienka. — Ten rudy jest Niemcem spod Hannoweru. On uciekł, bo tam teraz Hitler we wszystkim ogranicza. — Ta znowu, co włosy czerwone jak marchew, to jest Angielka pomieszana ze Szwedem. Nie ta, co drze pierze, ta co wodę niesie w tym płóciennym wiadrze.

Aptekarzowa otuliła się szczelnie, bo dmuchał chłodny wiatr.

— Tutaj nie wiele zarobicie, bo miasto jest biedne. Tam w Kalinowie prędzej, tam przynajmniej jest wojsko.

Cyrkowiec machnął ręką.

— Już tam gemajniak da najwięcej zarobić — powiedział niespodziewanie po polsku. — Oficer — ja, ale władza nie pozwoli chodzić ludziom na takie cyrki, bo wstyd dla munduru.

— Mnie się podoba wasze życie — powiedziała — chociaż głodno i chłodno — chciała powiedzieć: ale przecież swobodno, jednak rzekła: ale przecież wesoło.

rys. Mieczysław Piotrowski

Cyrkowiec zatrzepotał powiekami, przestąpił kilkakrotnie z nogi na nogę. — Wesołe jest takie życie — powiedział.

Aptekarzowa powiodła współczującym wzrokiem po jego zniszczonym odzieniu i na zapytanie, czy sama nie jest cudzoziemką, odparła przecząco.

Nazajutrz, gdy już było rzeczą dostatecznie pewną, że w mieście zginęły trzy indyki, burmistrz wysłał woźnego z nakazem wstrzymania imprez. Nie chciano nawet chleba sprzedać ludziom z cyrku. Budy odjechały żegnane gradem kamieni, a dobrze, że nie policją.

— Trzy indyki — mówił Teodor — żeby choć jaja niosły i tyle strat dla biednego chrześcijaństwa. Doprawdy nasi ludzie to prawdziwe świnie!

A na to Hipolit: — jeszcze nie czas, aby nasi ludzie poczuli się do solidarności obywatelskiej. Jeszcze trochę, jeszcze kapkę, niech się ten kurnik sam trochę rozkitłosi, rozblajda a potem dopiero hajda, narodzie, na stu koniach!

Hajda! bassamteremtete!

Stryj począł stukać palcem po nosie myśląc już o czymś zgoła innym. — Hajda, hajda — szeptał.

Lato jest porą festynów dla tych, co zostali w mieście. Bo chociaż mnóstwo osób rozjechało się do przeróżnych Krynic, Truskawców, Rabek, w mieście zostało jeszcze wiele ludzi. Być może Londyn, Warszawa, Nowy-York świecą w porze letniej pustkami, — wymarłe omnibusy kursują bez żadnego utargu, w tramwaju ziewają konduktorzy, dorożkarze chcą się na śmierć zanudzić, także skwery, bulwary parują asfaltami smarem, brudami, ale Rogożyn nie świeci w porze letniej pustkami. Pachnie tu ruchem skrzętnym i gwarem i nawet mydlarnie nie rozsiewają swego wstrętnego zapachu, nawet kiszczarnie załatwiają swe sprawy, bez właściwych sobie odorów. A niech no tylko upał zelżeje, niech deszcze przeleją. Toż urwanie głowy, toż ludzie sypią ulicami, toż dudni kuźnia wesoło, toż kwiczą radośnie tartaki.

Wraz z dobrym zbiorem rośnie ochota społecznego wiwatowania, coraz gwałtowniej wybucha potrzeba pospólnej radości. Napomykarą już o tym zapowiedzi kinowe, mówi się o tym na radzie, a w parkach łata się już płoty, poprawia zamulone pawilony, członkowie klubu „Navigaria Rogosiniensis" coraz śmielej, coraz zuchwalej pokazują się w swych gimnastycznych koszulkach.

I oto ledwo ledwo w piątek rozwieszono afisze a już w sobotę popołudniu beczkowóz objechał wszystkie kąty Rogożyna. Za beczkowozem przemknął na rowerze sekretarz miasta, przejechał konno dyrektor Mateusz Gątarski a kwadrans po nim ulice rozbrzmiały drabiniastą furą, pełną słomy, błaznów i trębaczy. Pod furą tłoczy się gawiedź żądna sensacji, u luśni czepiają się umorusane dzieci, radośnie leje się zza chmur słońce rumiane, jak twarz podchmielonego aptekarza.

Zboże nie wszędzie skopione, jeszcze kołysze się wąsata pszenica, ale w powietrzu już roznosi się ów nastrój dożynków, który niebawem wstrząśnie wsiami.

Więc całe miasto zwaliło się do parku, obsiadło mury, płoty, zagrzmiało, runęło śmiechem lata. Nawet wsiowi z bukiecikami za wstążką, z lemoniadami i własnym chlebem w węzełku, nawet brukarze z dalekiego Kalinowa, nawet żołnierze — a tu orkiestra gra na wszystkie registry, kwiczy jak zagubiona maciora, i bije bęben, dudni bęben, odpalają potężne moździerze.

Już się rozpoczyna zabawa. Już aptekarzowa i burmistrzyni wydają w pawilonie fanty, cyganki już wróżą przyszłość dziewczętom. Jej, ależ towaru! aż ćmi się w oczach, człowiecze. Jest żywa gęś, są kosze słodkich czereśni, jest prześliczna statueta murzyna zaglądającego w ucho murzynce, są organki z dzwoneczkami, są papierowe węże, jest drumla, są piszczałki lipowe. W pięknie malowanych kojcach gdaczą już kury, pieją koguty, kwiczą różowe prosięta z kokardkami na szyi. Obok na gołej murawie walają się w nieładzie szczotki, kiełbasy, kiszona papryka, kiszki, nawet chleb podzielony na kromki.

A dalej kiosk z wędkami, tombola, francuski bilard, dalej amerykańska huśtawka, słup namydlony. Już młodzież naciera dłonie, żywicą, pnie się hen do góry, do słupa, już wybucha śmiech gawiedzi jak woda rozbita plaśnięciem ciała. Za wierzbami, nad stawem sędziowie zaglądają w swe stoppery. Pływacy masują się nawzajem, skaczą z nogi na nogę, wylewają sobie wodę z uszu. Jakiś brodaty pływak ćwiczy już na trampolinie swe przysiady, inny wiesza się na poprzeczkach. Reszta zawodników poklepuje się po barkach, napręża swe mięśnie, wydyma brzuchy, za chwilę zawodnicy będą skakać do wody o puchar burmistrza.

A ludzie wciąż nadchodzą. Zaglądają przez dziury w płotach wyrywają dranki, łamią gałęzie, walą się na oślep w krzewy, klomby i trawniki. Krzyki woźniców, dźwięki klaksonów, trąbek, huk moździerzy, ryki krów kotłują się i zawiewa z nad stawów cierpkosłodkim zapachem wiklin. Niebawem orkiestra zagra poloneza, wszelkie halaburdy kirusy pochwycą za kufle i księżyc, pijany jak bela, zarży magistracką basetlą.

Miasto Rogożyn położone jest w widłach Bialiny. Gromadzi w sobie zsyp zboża, spław drzewa i jest miejscem bardzo ważnych ułatwień. Tu za tuzin jajek otrzymasz gałkę nici, za ziemniaki czarną sól Bochni i zapałki. Tutaj za zboże otrzymasz naftę, pług, młockarnię huczącą. Stąd płynie zboże do elewatorów, portów, mórz, oceanów, stąd pędzą gęsi jesienią aż za sam chyba kraniec ziemi. Tutaj przychodzi ze świata towar zamorski, tutaj za ziemiopłód docierają cynamony, goździki, farby, tu płynie gałka muszkatołowa może nawet aż ze samej Batawii.

W Rogożynie był zsyp zboża, w Rogożynie był handel drobiu, w Rogożynie byli Żydzi brodaci. Gdzie nie ma Żydów? Chyba na biegunach, albo w piachu Sahary. Ale i tam, jak podają pisma, jest coraz więcej Semitów. Zapełniają oni coraz gęściej powierzchnię kuli ziemskiej, kto wie, czy za lat parę będzie jeszcze miejsce na ziemi dla człowieka.

W Rogożynie był handel, w Rogożynie były tartaki, w Rogożynie byli Żydzi. Handlowali oni cielętami, kurami, grzybami, pierzem, — handlowali końmi i bydłem. Zwłaszcza dojrzałą jesienią, kiedy po mieście pachnie kapustą, ogniskami i sadem, Żydów było w mieście najwięcej. Wtedy przeraźliwy wrzask drobiu gnał Żydowską ulicą, aż do samego przejazdu promem. Dreptały tedy łapy gęsi, bieliła się ulica śnieżnymi piórami.

Tkliwili się wówczas wszyscy rogożynianie a nade wszystko panny, pulchne gąski o białych, długich szyjach. Wtedy wiatr unosił chałaty Żydów, pobudzał je do żałosnego łopotu. Jak żałobne chorągwie miejskie, tak powiewały czarne atłasy.

Ze starymi bachory w króciutkich, łatanych porciętach, za bachorami otyłe, rozlane ruchły, potem chusyny białe, przezroczyste, jak jaskiniowe odmieńce. Przy promie wszyscy krzyczeli, kłócili się, popychali, jakby im chodziło o sprawy najistotniejsze ze spraw, które tylko tu przy promie mogły się rozstrzygnąć, a nie o... drób marny.

— Aaj waj, aj waj! — pełno było krzyku i płaczu.

Wtedy wszystkie letnie ptaki umykały na ciepłe plaże greckie, brzegi Syrii, aż na sam nawet Nil żyzny. Leciały dzikie gęsie, pobrzękiwał nad miastem posępny klangor żurawi.

Głęboką północą wracały żydzięta zza Bialiny, stawali na brzegu milcząc, ulatywał ku miastu żałosny mamrot ich słów.

Potem rozchodzili się stadkami, szeregiem, po kilku, to znowu jedną wspólną gromadą. Wreszcie na ulicy rozpoczynał śpiew jakiś Szmaje, czy Duwyt wyniosły... Długo w noc huczała w młynach żałosna pieśń gęsi jesiennych.

Żydzi nie chodzili na festyny.

Któregoś bowiem dnia powiało ze świata ta śmieszność rasy żydowskiej stała się nader oczywista.

Taki głupi Symche skrzypek... dawniej on grywał na koncertach u aptekarzowej, cały Rogożyn płakał na koncercie E-mol Mendelsohna. A dziś? Proboszcz ani chce gadać na temat Talmudu.

A cóż mówić o Blimie bawiącej w Londynie na nauce języków orientalnych? o szmaciarzu Szlisselu handlującym brylantami? o Jankielu Mleczarzu, składającym dolary pod pozorem sprzedaży mleka, o mleczarzu, przestającym z Hipolitem kataryniarzem. On (Szlissel) co tydzień jeździ do Antwerpii, on „szlifuje" kamienie, on po podwórkach woła: Handel, handel, on się roztraja, on w poczwórne role wchodzi, panie święty!

— I gdzież Polska i czyja? — krzyknęli raz dwaj korporanci, — Gdzie nasza ziemia? — zawołali dwaj szewcy z Kalinowa, którzy zostali zamknięci za rozlepianie afiszów. Młodzieńcy ci opuścili progi aresztu jeszcze tego samego dnia a ulotki tej samej treści, co afisze, znaleziono na drzwiach rogożyńskiej kolegiaty.

Potrząsał wtedy gniewnie proboszcz fajką, potrząsał wikary głową. Bił pięścią w stół pan Zenon Ściborski.

Tego dnia Żydzi stali na brzegu Bialiny i przytupkiwali sobie ochoczo. Na gwizd pociągu najstarszy podniósł ramiona ku niebu a kiedy zza tartaku wysunął się pociąg objuczony bydłem, wówczas kantor począł śpiewać. Ale gdy na festynie coś huknęło, śpiewak umilkł.

Wtedy właśnie najwytrwalszy nurek klubu Navigaria Rogosiniensis wychylił głowę z pomiędzy desek pływającej przystani i zaczerpnął wreszcie oddech. Zabłądziwszy bowiem aż pod brzeg, byłby ustalił rekord wieczysty tego zanurzenia, gdyby nie dziura w deskach.

Pogotowie sportowe wyciągnęło wreszcie szczęśliwca, tłum wydał taki okrzyk zadowolenia, jakby Polska wygrała ze sto miliardów dolarów.

W tej chwili park huczał już, jakby się rozbiły tablice ze świętymi przykazaniami, ludzie padli sobie w ramiona w wielogębnym śmiechu pani sekretarzowa otrzymała pierwszą nagrodę piękności, dyrektor Mateusz Gątarski wygrał prosię z zieloną wstążeczką. Aż falowało powietrze od blasku jaki roztaczała wokół siebie ta szczęśliwa para.

Burmistrz podkręcił wąsa patrzył zachwyconym wzrokiem na filigranowe nóżki nagrodzonej zbytnicy. Jej orzechowe włosy splecione w piękny zwisający na kark węzeł, jej platynowy ząbek w czarownym brzoskwiniowym kąciku ust, jej ogromne zielone oczy o długich jak u Glorii Swanson rzęsach, skruszyły lód nawet w sercu aptekarza.

— Toż to bóstwo letnie, prawdziwa Primawera, nie kobieta — powiedział pan Zenon nadymając się.

Nie pozwolił na zbyt długi hołd dyrektor Mateusz Gątarski. Ująwszy ramię pięknej sekretarzowej poprowadził ją w stronę cygańskiej orkiestry, która już wykrzykiwała swe „Wiwat, niech żyje kobieta, wino śpiew".

W jednej klapie Mateusza widnieje bilet wstępu, w drugiej kartka z numerem miłosnej poczty. Olbrzymie uszy towarzysza sekretarzowej zasypane są konfetami aż do samego chyba przewodu Cortiego. W oczach Mateusza błyszczy radość i przebój. Gazeta Polska, którą dyrektor trzyma w swej zaciśniętej pięści jest już prawie podarta. — Ale gdzie zostawimy nasz kwiczący amulet? — szepce wonnymi usty już ruszająca tanecznie biodrami zbytnica.

— Cyganom?—szepce blednąc — ach, ty okrutny potworze!...

Ale już ogorzała twarz wodzireja potrząsa dziarsko wąsami, już przytupujący namiętnie prymas gra swe ogniste solo.

Tymczasem w japońskiej altanie gra nie rozwijała się dla wszystkich szczęśliwie. Aptekarz już wyciągnął portfel z tylnej kieszeni, już burmistrz przegrał całą gotówkę, tylko kupiec Zakleja pieniądze ściąga, bębni tłustymi paluszkami po stole, omal nie pogwizduje z zadowolenia.

Obok nich naczelnik więzienia, ze znaczkiem FOMu w klapie, uderza pana Wawinkie-

wicza po kolanie, pociąga nerwowo nosem, stuka energicznie obcasem.

Nie jest zadowolony z życia naczelnik kalinowskiego więzienia. Czarne brwi na jego nerkowatym obliczu jeżą się jak ostrza bagnetów, oczy żarzą się jak dwa wizjery policyjnych czołgów.

— Czy wydaje się panu, że takim niezdecydowaniem do czegoś dojdziemy? Zawsze politykę polską cechowała donkiszoteria i brak realizmu! Musimy uderzyć silnie pięścią w stół i wybić ludziom z głowy wszelkie mrzonki. Niedostrzegalnie bowiem dokonuje się rozkład wierzeń, pojęć rodzinnych, rycerstwa, a my?

— Co pan mówi? Wszystkie żonki? — zażartował aptekarz. — Całe szczęście, że jest pan kawalerem. Wszystkie żonki, ha, ha!

Naczelnik spojrzał ponuro w ziemię.

— Bo albo mamy się stać mocarstwem, albo zawsze będziemy w cudzych ogonach triumfy święcić. Nie jako panowie własnego zdania — tu naczelnik groźnie chrząknął — lecz jako echa. Tertium niestety non datur. Małoż popełniliśmy błędów za Zygmunta? A czy obserwuje pan maniery dzisiejszych kobiet? Ich sposób plażowania, ich ondulacja, ich stosunek do obowiązków? Oświadczam panu, że to nie jest wcale objaw fasonu, to jest trwały fakt, z którym należy się liczyć. Fakt, panie.

Pan Wawinkiewicz spojrzał z nietajoną złością w stronę cygańskiej gospody, gdzie jego własna żona pokrzykiwała hulaszczo i wyrzucała tanecznie dłonie. — Musi być ktoś, no Ktoś. Ktoś — królewskie to słowo — przytaknął.

Naczelnik spojrzał na kieliszek pod światło, trzepnął palcami i rzekł z mocą: — Ktoś, Ktoś. cesarskie to słowo! — Ale na widok dyrektora Gątarskiego powracającego z sekretarzową rozjaśnił swą twarz. Jego szyja, pokryta wypukłymi plamami, wysunęła się z kołnierza jak szyja kondora.

W tym samym czasie drogą wiodącą od mostku na Bialinie szło troje istot. Jedna gruba, niska, to — Teodor, druga, chuda wysoka to Michaś Diogenes. Trzecia w odległości kilkunastu kroków łowiąca muchy w przelocie i kręcąca bez przerwy ogonem to pies Pinio.

Na ulicach nie ma żywej duszy. W sadzie burmistrza Hania pasie kozę. Wiąże warkocze śpiewa, jakby myśląc o czym innym, ten warszawski przebój sprzed lat:

Dawniej tylko grube panie wielbił świat,
kobieta dawniej była jak masarski skład.
Obfity bioder kształt, dziś nie ma drutów, fałd,

leżała, czytała i tyła wciąż na gwałt.

Słomiane włosy dziewczyny już zielenieją wśród słoneczników, skądś dobiega głos bandoneonu Hipolita Kataryniarza, pociąg gdzieś gwiżdże na cały nieboskłon i oto w nagłym chrapnięciu orkiestry odzywa się trzeszczący głos radiowego głośnika. Ktoś mówi o tanich sposobach czyszczenia okularów. Głos Hani jest już zamglony jak głos kantora z nad Bialiny. I oto rozlega się elegijny ton bandoneonu. Hania rwie trawę dla królików, kładzie ją do kosza, śpiewa już rozżalonym głosem tę niekończącą się piosenkę:

Starsza siostra brata miała,
starszą siostra brata miała,
i na wojnę go wysłała,
i na wojnę go wysłała.

I tak dalej, dalej aż do zaspania: starsza siostra miała, starsza siostra brata miała, młodszej siostry się pytała...

Wtedy już cienie wieży ratuszowej zbliżały się do studni. Fara szafranowa od promieni poczęła dudnić dzwonami leniwo. Jej wieża już roztyła się pomarańczowo i zapłonęła u szczytu północno-wschodniej ściany rynku jak otła św. Elma. U spodu tej ściany, rozświetlonej rzęsiście oknami dzwonią cynowe wiadra nosiwody.

Nosiwoda doszedłszy apteki, poprawia jarzmo, idzie w głąb ulicy Farniej coraz bardziej tracąc na swej rzeczywistości. Ponieważ ktoś otwiera okno, czyni to służąca w niebieskim szlafroku, więc przez pewien czas rytm beethovenowskiego Egmonta wiąże się z klekotem wiader.

Potem na cały rynek biegnie taneczna Bajka Moniuszki. Gra ją niewidzialny głośnik trzeszczący burzami, które stale kotłują się w świecie.

I znowu cisza. W niej rozlega się stukot pocztowego wozu. To jedzie poczciarz na jednokonce.

— Tup, tu, — tup, tup — klepocą kopyta rządowego konia.

— Tuk, tuk, — tuk, tuk — klekoce zegar Matyldy Pokornej.

Zygmunt Fijas

TREŚĆ Nr 26:

Konstanty Grzybowski — Katolicyzm społeczny" **Juliusz Żuławski** — Z osiągnięć i działalności Związku Zawodowego Literatów Polskich. **Zygmunt Kałużyński** — Czy „Lalka" jest powieścią o zniechęconym mieszczuchu? **Tadeusz Hołuj** — Sprawa polska w Izbie Gmin (1830—1840) (II). **Juliusz Krajewski** — Realizm i abtrakcja, **Henryk Stażewski** — Refleksje z salonów sztuki. **Kronika radziecka. Paweł Hertz** — O „Nowych Drogach". **Korespondencja, Noty.**

ADAM SCHAFF

O potrzebach szkół wyższych

Problem Szkolnictwa Wyższego jest u nas ostatnio często przedmiotem dyskusji. Wpływają na to momenty społeczne i polityczne, które bardzo ostro stawiają konieczność przebudowy i zasadniczego przekształcenia istniejącej sytuacji. Wpływają na to również momenty natury pedagogicznej, które wobec ogromu zniszczeń wojennych w dziedzinie naszej kultury, wysuwają nowe, niezwykle odpowiedzialne zadania przed Wyższymi Uczelniami.

W dyskusjach górują jednak względy natury społeczno-politycznej. Konieczność zmiany składu socjalnego słuchaczy wyższych uczelni i „przewietrzenia" atmosfery w nich panującej jest pewnikiem, przynajmniej dla postępowej części naszego społeczeństwa. Podobnie jak konieczność uzupełnienia składu ciała pedagogicznego, co jednocześnie wpłynęłoby i na jego odmłodzenie i na zmianę klimatu politycznego wśród naszej profesury. To są naczelne zadania o charakterze społeczno-politycznym, bez realizacji których wszelkie dążenie do reformy wyższego szkolnictwa jest z góry skazane na niepowodzenie. Te zadania, znajdujące się obecnie w stadium realizacji, nie ulegają wątpliwości, i dla obozu polskiej demokracji, jeśli idzie o zasadę, przestały być przedmiotem dyskusji.

Ale problem wyższych uczelni posiada również inny aspekt, bodajże nie mniej ważny dla realizacji wszelkiego poważnego planu reformy studiów wyższych. Są to zagadnienia, o której wiele się mówi w kołach zainteresowanych, w kołach naukowców. Idzie tu o sprawy żywotne dla wyższych uczelni, o sprawę ich **materialnego** bytu w najszerszym tego słowa znaczeniu. **Ponieważ idzie o** sprawę **żywotną** dla rozwoju naszego szkolnictwa wyższego i o sprawę **słuszną**, powinna ona być podjęta przez tych właśnie, którzy w trosce o dobro państwa stanęli w pierwszym szeregu bojowników sprawy **politycznej** reformy Szkół Wyższych — przez polską **lewicę**. I tu bowiem idzie o dobro państwa, o perspektywę rozwoju wyższych uczelni; a jednocześnie idzie o wytrącenie broni z ręki tych, którzy uważają, że partie lewicowe ograniczają się w tych sprawach do strony politycznej i że wszelka inna krytyka jest niedopuszczalna, wobec czego należy o tych zagadnieniach milczeć.

W lipcowym numerze z 1946 r. czasopisma radykalnych katolików francuskich „Esprit" ukazały się dwa artykuły poświęcone zagadnieniom szkolnictwa wyższego we Francji p. t. „Kryzys uniwersytetu" i „Anemia Szkolnictwa Wyższego". Artykuły te zostały w Polsce przedrukowane w „Myśli Współczesnej" nr 9 w dziale kronik.

Zadaniem wspomnianych artykułów jest uderzenie na alarm w związku z trudną sytuacją szkolnictwa wyższego we Francji. Zwłaszcza drugi artykuł przeprowadza niezwykle ciekawe porównanie cyfrowe stosunków we Francji i St. Zjednoczonych, który rzeczywiście katastrofalnie wypada dla Francji. Spróbujmy włączyć się do porównawczych tabel i sprawdzić jak wyglądała nasza sytuacja przed wojną i obecnie.

Zacznijmy od zagadnienia ilości studentów; bazą porównawczą jest rok 1936.

	liczba ludności	liczba studentów	stosunek liczb studentów do ludności
St. Zjed.	125.000.000	994.000	1:125
Francja	42.600.000	90.000	1:475
Polska	35.000.000	48.000	1:729

Z zestawienia tego wynika, że „gęstość" studentów była u nas 5,8 razy mniejsza, niż w Stanach Zjednoczonych, a 1,53 razy mniejsza niż we Francji. To znaczy, że jeśli mielibyśmy dorównać Stanom Zjednoczonym, to w r. 1936 powinniśmy byli mieć nie 48.000 a **278.000** studentów! Nie naprowadzam tu jeszcze bardziej zabójczych cyfr porównawczych ZSRR, by nie komplikować sprawy różnicą ustrojów.

Czy zagadnienie to jest u nas znane? Pamiętajmy, że bez odpowiednich wysoko kwalifikowanych kadr inteligencji, zwłaszcza technicznej, nie ma mowy o realizacji naszych planów rozwoju gospodarczego i co z tym się wiąże technicznego, kraju. Co zrobiono u nas w celu usunięcia tej katastrofalnej wprost dysproporcji rozwoju szkolnictwa wyższego w przodujących krajach kapitalistycznych i u nas?

Należy stwierdzić, że mimo niezwykle trudny i niesprzyjający okres powojenny, zrobiono wiele. Nie tylko przywrócono do życia stare placówki, ale stworzono szereg nowych uczelni, polepszając rozmieszczenie geograficzne ośrodków nauczania i wydatnie powiększając liczbę studiującej młodzieży.

W r. 1939 mieliśmy w Polsce 28 wyższych uczelni, w r. 1946 — 32.

W r. 1939 mieliśmy w Polsce 50 tys. studentów, w r. 1946 — 68 tys.

W r. 1935 liczba ludności Polski wynosiła 35 milj. w r. 1946 — 24 milj.

Biorąc pod uwagę te cyfry możemy stwierdzić, że w najtrudniejszych warunkach powojennych udało się nam podwyższyć stosunek studentów do ogółu ludności przeszło **dwukrotnie** i obecnie 1 student przypada na 353 mieszkańców, a więc stosunek jest lepszy, niż we Francji przedwojennej. Ale ciągle jeszcze jest on **trzykrotnie niższy, niż** w Stanach Zjednoczonych przed wojną.

Ogrom strat ludzkich, które szczególnie ciężko dotknęły w czasie wojny inteligencję, każe nam wzmóc wysiłki, w celu jak najszybszego zapełnienia kadry nowej inteligencji.

Czy prócz dobrych chęci, mamy po temu realne dane? Musimy pamiętać, że kształcić studentów można wówczas, gdy się ma odpowiednie kadry profesury i sił pomocniczych. Jak wygląda sprawa „pełnowartości" ciała profesorskiego i naukowych sił pomocniczych w naszym szkolnictwie wyższym? Sięgnijmy znowu do porównania cyfrowego (podstawa r. 1936).

	liczba studentów	liczba sił pedagog.	Ilość studentów na jedną siłę pedagogiczną
Stany Zjedn.	994.000	89.184	1:11
Francja	90.000	2.200	1:33
Polska	48.000	2.460	1.20

I w dziedzinie etatów pedagogicznych na wyższych uczelniach zrobiliśmy w okresie powojennym potężny krok naprzód. Ogółem liczba etatów została podniesiona obecnie do 5.739, z tego pomocnicze siły naukowe — 3.775. Uwzględniając jednocześnie powiększenie się ilości studiujących z 48.000 na 68.000, ilość stud. przypadających na jedną siłę pedagogiczną wyraża się w stos. 1:12. Mimo, że w tym kierunku zrobiliśmy ogromny postęp, musimy pamiętać o 2 momentach. Po pierwsze, że ilość względna naszych studentów jest trzykrotnie niższa od poziomu amerykańskiego i że jej podnoszenie się wymagać będzie automatycznie podniesienia liczby personelu pedagogicznego, co ze względu na wymagane kwalifikacje jest niezwykle trudne do zrealizowania. Po — drugie, że mimo wzrostu etatów pedagogicznych jest wielka ilość nieobsadzonych, wzgl. prowizorycznie obsadzonych katedr, zwłaszcza na nowo kreowanych wyższych uczelniach. Przewidziane przez plan trzyletni tempo powiększenia ilości sił naukowych jest niedostateczne w związku z tym, że liczba studentów już obecnie przekroczyła normę planu na 1949 r.

Powstaje w związku z tym zagadnienie przyciągania nowych kadr do pracy na wyższych uczelniach. Problem ten nie da się oddzielić od jednego z najbardziej palących pytań naszego szkolnictwa wyższego, a mianowicie zabezpieczenia bytu materialnego pracownikom naukowym. Mówi się o tym mało i niechętnie; prasa milczy na ten temat. A tymczasem, wbrew opinii ustalającej się w pewnych kołach, zagadnienie to nie tylko nie zostało rozwiązane przez różne paliatywy, ale nadal jest aktualne i nawet palące. Zwłaszcza jeśli się myśli na serio o przyciągnięciu nowych sił do pracy naukowej, bez czego rozwój wyższych uczelni pozostaje mrzonką.

* * *

Sprawa uposażenia to sprawa przyziemna, ale bardzo ważna. Po prostu, jeśli się chce, by pracownik naukowy mógł całkowicie poświęcić się pracy naukowej — a o to właśnie idzie społeczeństwu — należy go uwolnić od trosk materialnych. Człowiek, który musi szukać zajęć ubocznych, który jest przytłoczony troskami o byt materialny, nie może spełniać tak jakby chciało tego społeczeństwo swej funkcji naukowca. Zwłaszcza, jeśli zważymy, ze bardzo często idzie o ludzi posiadających zupełnie niepraktyczną specjalność i którym w związku z tym trudno o znalezienie zajęcia ubocznego.

Jak wygląda sprawa uposażeń naukowców? W okrągłych sumach uwzględniając wszystkie możliwe dodatki i rekompensaty za wyżywienie itd., profesor zwyczajny otrzymuje około 18 tys. nadzwyczajny około 16 tysięcy, zastępca profesora i docent około 14 tys., starszy asystent z tytułem naukowym około 10 tys. Jest to ogromny postęp, jeśli zważymy, że pochód w górę pensji profesorskiej rozpoczął się rok temu od poziomu 5 tys. A więc wzrost przeszło trzykrotny. Czy wystarczający? Nie, absolutnie nie wystarczający.

Przepraszam, — odpowiadają często na ten argument rozmówcy, — jesteśmy krajem biednym i nie możemy sobie na więcej pozwolić.

Zgoda, że jesteśmy krajem biednym. Nieprawda natomiast, że nie możemy sobie na więcej pozwolić. Idzie po prostu o racjonalny podział tego, co posiadamy. Jeśli pensja kierownika sklepu spółdzielczego może przekraczać niejednokrotnie 100.000 zł., jeśli księgowy w fabryce zarabia tyle co profesor uniwersytetu, jeśli dyrektor zjednoczenia zarabia kilkakrotnie więcej, to twierdzę, że jeśli na to **można** sobie pozwolić, to z pewnością można sobie pozwolić na wystarczające pensje dla 1900 profesorów, docentów i wykładowców wyższych uczelni w całej Polsce. Więcej, uważam, że jeśli nas nie stać na wszystkich, to należy dokonać przesunięcia na korzyść pracowników naukowych. Bo to w ostatecznym rachunku **opłaca się** państwu, a postępować rozumnie, to znaczy postępować wedle zasady najwyższej opłacalności społecznej.

Pomyślmy i porachujmy po kupiecku co kosztuje społeczeństwo wyhodowanie jednego naukowca i jaką korzyść on przynosi społeczeństwu. Porachujmy ile lat nauki w szkole, na wyższej uczelni, samodzielnego studiowania potrzeba zanim dojrzeje samodzielny, twórczy umysł naukowca. Jak skomplikowany jest mechanizm selekcji, potrzebny dla wybrania wśród tysięcy jednostki, która może pójść drogą naukowej twórczości. I wówczas staje się jasne, że takich ludzi należy — ze względów czystego rachunku społecznego — traktować **specjalnie**, przyznać im prawa specjalne. Zwłaszcza po takim upuście krwi, jaki przeżyła Polska; zwłaszcza wobec tych ogromnych zadań wychowawczych i rekonstrukcyjnych, które stoją przed nami.

Przygotowanie młodego człowieka do pracy badawczej trwa conajmniej osiemnaście lat; jest to wówczas normalnie nowicjusz w świecie nauki. Jest to droga trudna i ciernista. Czy dziwne, że mało kto się na nią decyduje? Czy dziwne, że będzie wręcz od niej stronił, gdy w jej rezultacie otrzyma znacznie gorsze warunki, aniżeli te, które mógłby uzyskać bez specjalnego trudu, a często bez skończenia studiów. Nie dziwota, że trudno znaleźć dobrego asystenta, gdy poza uniwersytetem zarobi trzykrotnie więcej. A jak wiadomo ludzie muszą żyć. Jakże mamy zdobyć nowe kadry?

Wreszcie, moment ostatni: zwiększenie dotacji, zwłaszcza jeśli idzie o nowe uniwersytety. Tu należy być realnym i postulaty nie mogą być kategoryczne, jak wyżej. Wydatki 1,6 miliarda złotych rocznie jak obecnie, na szkolnictwo wyższe jest w naszych warunkach imponującym wysiłkiem. Czy można będzie dać więcej, to zależy od wielu czynników ogólno-gospodarczych, o tym rozstrzygać mogą tylko miarodajne instancje kierujące finansami państwowymi. Ale apelować należy. Zwłaszcza w imieniu nowych uczelni. Pracują bez bibliotek, bez laboratorium, bez zakładów, często bez budynków. Utrudnia to wybitnie pracę, często wręcz uniemożliwia pracę efektywną. Oczywista, nie można zrobić wszystkiego odrazu, budowa wyższej uczelni to proces długi i trudny. Ale czynniki miarodajne muszą o tych potrzebach pamiętać. Poszczególne ministerstwa powinny przyjąć szefostwo nad poszczególnymi uczelniami. Musimy w imię interesu ogólno-państwowego pchnąć i tę sprawę naprzód.

W ostatecznym obrachunku są to bowiem inwestycje niewątpliwie opłacalne i hierarchicznie niewątpliwie o pierwszorzędnym znaczeniu.

Adam Schaff

ANTONI SŁONIMSKI

W ŁODZI

W dniach 21 – 24. VI. 1947 r. bawił w Łodzi Antoni Słonimski, wygłaszając w gronie pisarzy łódzkich odczyt o celach i zadaniach UNESCO, którego treść ogłosimy w najbliższym numerze naszego pisma.

Znakomitego gościa zespół redakcyjny „Kuźnicy" podejmował obiadem, w którym udział wzięli red. Stefan Żółkiewski, Mieczysław Jastrun, Adolf Rudnicki, Kazimierz Brandys, Paweł Hertz, Ryszard Matuszewski, Juliusz Żuławski.

TADEUSZ HOŁUJ

Sprawa polska w Izbie Gmin w latach 1830 - 1840 (III)

W roku 1834 sprawa polska wypłynęła najpierw w parlamencie francuskim, traktowana w podobnym aspekcie jak w Anglii: starano się wytłumaczyć rządowi francuskiemu, że jego obowiązkiem, wynikającym z traktatu wiedeńskiego jest przestrzeganie wykonania postanowień tego traktatu. W Anglii nastroje w parlamencie stały się nieco pomyślniejsze do poruszenia zagadnień związanych z Polską na skutek nowych sukcesów, odnoszonych przez rząd petersburski w dziedzinie polityki zagranicznej, w stosunku do Turcji. **Wilhelm IV**, król angielski, w swej mowie tronowej wygłoszonej 4 lutego na otwarciu Izb parlamentu brytyjskiego mówił o zamiarze niedopuszczenia do żadnych zmian pomiędzy Turcją a Rosją. Było to jednak gołosłowne oświadczenie się za Turcją, nie pociągające za sobą żadnej akcji przeciw Mikołajowi.

Nadzieje na interwencję dyplomatyczną rozpierzchły się tak samo jak nadzieje na szybki wybuch rewolucji europejskiej rozbiły się o klęskę wyprawy sabaudzkiej i stłumienie wiosennego powstania we Francji (Paryż, walki tkaczy lugduńskich).

W Europie Zachodniej zjawiają się nowi tułacze polscy: wychodźcy z Krakowa, Austrii, oraz żołnierze z pruskich twierdz. Ci ostatni przybili do brzegów Francji i Anglii, część z nich, po wylądowaniu w Portsmouth powiększyła liczbę emigrantów w Anglii, liczbę biedoty. Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski zwołało w lutym meeting w sprawie pomocy emigrantom polskim, postanawiając wnieść do parlamentu petycję o zapomogę rządową. Podjął się tego dzieła pułkownik Evans zgłaszając 25.3.34 r., wniosek w Izbie Gmin o udzielenie emigrantom polskim przybyłym do Wielkiej Brytanii, całego zasiłku, żołdu, powołując się przytem na przykład francuski, oraz przypominając wsparcie jakiego udzielił rząd angielski emigrantom francuskim w czasie rewolucji 1789 r.

Minister spraw zagranicznych, odpowiadając Evansowi w imieniu rządu, wyraził wprawdzie współczucie Polakom, ale nie zgodził się **„na szafowanie groszem publicznym"** i tym samym oszczędni Anglicy wniosek odrzucili.

Wniosek ten zaczął jednak nowy okres sprawy polskiej w parlamencie. Okres konkretnej pomocy emigrantom. Odwołano się do ofiarności publicznej, czyli inaczej mówiąc, żebrano, aby wesprzeć głodujących wychodźców, a zwłaszcza dzielnych czwartaków z powstania listopadowego, wyrwanych z pruskich kazamat po dwóch latach niewoli, a żyjących w Portsmouth, w starym pochodlerycznym szpitalu.

Postanowiono jednak nie rezygnować z przedstawienia sprawy zasiłków w parlamencie, aby przynajmiej w ten sposób sprawa polska nie schodziła z porządku dziennego Izby Gmin. Rząd jednak, zrażony udziałem Polaków w ruchach rewolucyjnych, odnosił się niechętnie do nowych emigrantów i wolał się ich pozbywać przez odmówienie zapomogi, aniżeli obarczać się **„tym niespokojnym żywiołem"**, co było tym łatwiejsze, że sprawy zapomogi referowali, niemili rządowi posłowie radykalni. Wobec tego obóz Czartoryskiego uprosił lorda Stuarta Dudley'a aby ten podjął się roli referenta sprawy żołdu dla emigrantów. Misja jego nie należała do łatwych ze względu na angielskie zwyczaje parlamentarne, nie zezwalające posłowi na wystawienie wniosków budżetowych bez pozwolenia ministra skarbu, który właśnie w danym wypadku pozwolenia takiego nie chciał wydać.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym Dudley Stuart miał postawić swój wniosek, uzyskawszy nań pozwolenie ministra w ostatniej prawie chwili. **Dnia 3 czerwca 1834 r.** rozpoczął o północy mowę. Naturalnie, połowa posłów wyczerpana posiedzeniem opuściła już Izbę. Mowa trwała około 45 minut, a słuchało jej zaledwie 100 znudzonych posłów i pięciu ministrów. Palmerstrona nie było na sali. Minister skarbu wyraził zgodę na wniosek, a w dyskusji bronili wniosku Buckingham, Hume i Fergusson. Wniosek został przyjęty co zaskoczyło nawet wnioskodawcę i obrońców.

Na zapomogi uchwalono 10.000 funtów rocznie z zastrzeżeniem, że suma ta ma być podzielona jedynie między emigrantów przybyłych do dnia uchwalenia ustawy. Rozdawnictwem zająć się miało Literackie Towarzystwo Przyjaciół Polski według następujących norm: wyżsi oficerowie — 16 szylingów, od kapitana do chorążego — 10 szylingów, żołnierze w Londynie — 7 szylingów, żołnierze w Porstmouth 5 szylingów i 3 pensy tygodniowo. Celem nadzorowania wypłat wybrano mieszaną polsko-angielską komisję. W tymże czasie w koszarach portsmoutskich tworzą się zaczątki nowej lewicowej organizacji emigracyjnej, złożonej z żołnierzy-chłopów i rewolucyjnej grupy szlacheckich przywódców. Żołnierze ci utworzyli komunistyczną wspólnotę ideową organizując następnie Gromadę Ludu Polskiego Grudziąż.

Rok 1834 przynosi ostry atak demokratycznej emigracji na obóz i osobę księcia Czartoryskiego, wyrażony w akcie podpisanym przez tysiące wychodźców. Akt ten osłabia oczywiście znaczenie jego akcji prowadzonej w Anglii. — Portsmouth przyłącza się do tej manifestacji uznając księcia nieprzyjacielem ludu, **„nieprzyjacielem polskiej emigracji"**.

Równocześnie w głównym środowisku emigracyjnym, we Francji, wrze. Towarzystwo Demokratyczne prowadzi walkę przeciwko Sekcji Centralnej dążąc do stworzenia własnego stronnictwa i opanowania całej emigracji. Rywalizacja pomiędzy sekcjami kończy się zwycięstwem sekcji Poitiers, której poddaje się Portsmouth. We wrześniu odmówiono płacenia żołdu trzem członkom Portsmouth, rzekomym „wichrzycielom" (księdzu Zienkiewiczowi, Sobolewskiemu i Stawlarskiemu). **Żołdu zaczęto używać jako środka presji politycznej**, wykorzystując nędzę żołnierzy, którzy nie mogli znaleźć ani takiej opieki materialnej, jak inni wychodźcy, ani pracy, napotykając się na niechęć robotników angielskich (bunt robotników w fabryce B-ci Gouldow na skutek przyjęcia trzech Polaków do pracy). Nie tylko w Anglii zresztą rosła niechęć do „uciążliwych cudzoziemców".

Pod koniec 1834 roku **upada gabinet liberalny whigów**, a premierem nowego rządu torysów zostaje **Robert Peel**, ministrem spraw zagranicznych na miejsce Palmerstona — książe **Wellington**, obaj nieprzychylnie usposobieni dla Polaków, przyjaciele Petersburga. Rząd ten nakłonił króla do obsadzenia stanowiska posła w Petersburgu lordem **Londonderry**, na miejsce po Stratford Cannigu, mianowanym jeszcze w 1832 roku, lecz nie uznanym przez cara. (Od tego czasu stanowisko to nie było obsadzone, car zaś odwołał swego posła z Londynu).

Sprawa lorda Londonderrzy wejdzie na porządek obrad Izby Gmin w roku 1835, roku dla emigracji polskiej w Anglii przełomowym. Wówczas to bowiem powstają w Anglii komunistyczne gminy Ludu Polskiego (Grudziąż, Humań, a potem Praga) i krzepną wpływy Towarzystwa Demokratycznego.

„Sezon polski" w Izbie Gmin zaczyna tego roku mowa królewska wyrażająca nadzieję... na zachowanie trwałego pokoju. **26 lutego** w czasie dyskusji nad mową królewską lord Dudley Stuart stwierdził, iż jest mu nadzwyczaj przykro przyznać, że mocarstwa zaborcze odnoszą się tak ufnie do Wielkiej Brytanii, i że Wielka Brytania traktuje z taką ufnością, Austrię, Prusy i Rosję. Mowa jego wysuwała znane już argumenty, że takie zaufanie jest obrazą dla narodu angielskiego, tak jak obrazą dla niego jest pogwałcenie traktatu wiedeńskiego.

Do ostrzejszego starcia doszło **13 marca** w związku z wspomnianą sprawą lorda Londonderry. Izba dała wyraz oburzeniu, że mianowano tak zdecydowanie rusofilskiego polityka. Poseł Sheil domagał się wręcz cofnięcia nominacji, a Fergusson po raz czwarty wystąpił w obronie Polski Kongresowej, przypominając, jak to w czasie sesji lipcowej w roku 1833 sam Palmerston potwierdził pogwałcenie przez Rosję układów wiedeńskich, jakże więc można teraz wysyłać do Petersburga posła, który ośmielił się twierdzić w parlamencie, że **to nie Rosja lecz Anglia działała wbrew traktatowi wiedeńskiemu udzielając zachęty „buntowniczym poddanym cesarza rosyjskiego"**. Premier usiłował bronić nowego posła petersburskiego, lecz spotkał się ze zdecydowaną opozycją. Poseł Sheil wycofał wprawdzie swój wniosek lecz 16 marca lord Dudley Stuart oświadczył Izbie, że **„lord Londonderry zmuszony był wyrzec się ambasady petersburskiej z powodu obelgi, rzuconej na najszlachetniejszy naród, jaki kiedykolwiek stanął do walki w obronie swej niepodległości"**.

Polacy otrzymali zadośćuczynienie. Moralne oczywiście. Tego samego miesiąca, Towarzystwo Literackie postanowiło na miejsce zawieszonych czasopism „Polonia" i „Polish Record" wydawać kwartalnik „The Brititish and Foreign Review", celem lepszej obrony sprawy polskiej. **W kwietniu upadł rząd torysów.** Whigowie utworzyli rząd z lordem Melbourne na czele i Palmertsonem jako ministrem spraw zagranicznych. Nowym ministrem skarbu został Spring Rice, o jego to „łaski" będą się ubiegać Polacy i ich parlamentarni przyjaciele, celem wyjednania zasiłków dla emigrantów przybyłych po 9 czerwca 1834 roku. Rząd wychodzi podówczas z założenia, iż przyznawanie nowych **zasiłków ściągnie na ziemię angielską nowych emigrantów, których widział niechętnie** zarówno ze względów politycznych jak i gospodarczych. Przedstawiono rządowi że przecież rząd francuski przyznał 4,713 emigrantom polskim 2.310.365 franków oraz, że zasiłki wypłacane emigrantom hiszpańskim są o wiele wyższe aniżeli przyznane Polakom. Ministrowie z niechęcią dali się przekonywać, a przekonani już oświadczali, iż jeśli Izba uchwali zasiłki będą to już zasiłki ostatnie.

Rozprawę naznaczono na dzień **9 sierpnia 1835.** W dzień rozprawy ukazał się w **„Times"** inspirowany przez Polaków artykuł o nowych gwałtach caratu i wzywający rząd angielski do ofiarności na rzecz Polaków. Izba uchwaliła bez sprzeciwu budżet na zasiłki, co więcej, debatując nad pozycjami budżetu poruszono sprawę wydatków konsularnych, a więc i sprawę Krakowa. Postanowiono rozpatrzeć tę sprawę ale koniec sesji stanął temu na przeszkodzie.

Ponieważ 10.000 funtów nie wystarczyło na pokrycie potrzeb licznej już rzeszy emigrantów, zwrócono się znów do ofiarności społecznej, zyskując znaczne zresztą fundusze. Zwolennicy Czartoryskiego rozpoczęli werbunek polskich żołnierzy, tym razem do legionu hiszpańskiego, mającego walczyć przeciwko Don Carlosowi. W tym czasie przybyli sprawie polskiej nowi przyjaciele, znany publicysta Dawid **Urquhart** i lord John Mac **Neil.** Urquhart, autor znanej i popularnej (wówczas już 5 wydanie) broszury politycznej **„Anglia, Francja, Rosja, i Turcja"** wywołał głośną aferę dyplomatyczną publikując w założonym przez siebie piśmie **„Portofolio"** tajne dokumenty ujawniając politykę Rosji, Austrii i Prus, co wywołało prawdziwą panikę w kołach dyplomatycznych tych państw. Były to po największej części odpisy tajnych aktów carskich, udzielane W. Ks Konstantemu, jakie w czasie powstania wpadły w ręce Polaków. Panikę tę odzwierciadlają doskonale pamiętniki hr. Nesselrode (tom VII), Metternicha (tom VI) oraz „The Correspondence of Priscilla, countess of Westmoreland" i pamiętniki sekretarza Tajnej Rady Królewskiej Karola Grevillie. Rzecznik rządu rosyjskiego lansował wprawdzie pogląd, iż dokumenty te są falsyfikatami, nikt mu jednak nie wierzył. Nastroje antyrosyjskie wzmogły się dochodząc do punktu szczytowego po jesiennych manewrach kaliskich i spotkaniu trzech władców zaborczych. Trzeba dodać, że dwór austriacki nie kwapił się do zacieśnienia sojuszu z Petersburgiem. Wiedeń począł się bardziej obawiać Rosji aniżeli... rewolucji, **Car po zakończeniu nieudanych manewrów zjechał do Warszawy (15.10.35) wygłaszając do deputacji miejskiej mowę, która wstrząsnęła sumieniem świata** — jak mówili współcześni. Europa nie słyszała jeszcze tak brutalnych i barbarzyńskich słów. Cała prasa europejska zaprotestowała, fala oburzenia szła przez Europę. „Journal des Debats" i „Times" przez wiele dni zajmują się tą mową; niektóre ośrodki próbują wprawdzie tłumaczyć, iż została ona przerobiona i wyjaskrawiona w pismach europejskich, jednak samo poselstwo rosyjskie w Paryżu i Londynie oświadcza: tekst jest zgodny z oryginałem rosyjskim. Król francuski nie posiada się z oburzenia, król angielski pisze ostry list do premiera domagając się zdecydowanych kroków przeciw Petersburgowi, nawet rząd turecki, po zapoznaniu się z treścią mowy orzeka, słusznie zresztą, że pogróżki cara odnoszą się tak samo dobrze do Polaków jak i do Turków.

Tak więc sytuacja wydawała się pomyślną do poruszania sprawy polskiej w Izbie Gmin, zwłaszcza, że debata parlamentarna we Francji miała przebieg pozytywny dla Polaków. Pojednawczy, ostrożny poseł angielski zapalał się do sprawy Polski, tym bardziej, iż zachodziła możność zmiany konfiguracji politycznej w Europie, korzystna dla interesów brytyjskich. **„My jesteśmy narodem kupieckim, narodem przekupniów** — czytamy w ówczesnym „Morning Chronicle" — **dumne i dalekie zamysły, romantyczne widoki powiększania nie mają dla nas żadnego wdzięku...** My jesteśmy najgorsi dyplomaci w Europie." Pismo nawołuje do sojuszu z Francją przeciw Rosji. Nic dziwnego, że rok 1836 zaczęty pod takimi auspicjami wzbudzał wielkie nadzieje w kołach emigracyjnych liczących na interwencję. Z niepokojem i nadzieją oczekiwano lutowej sesji parlamentu brytyjskiego. Inna rzecz, że na skutek różnic w praktyce parlamentarnej nie tak łatwo było w Anglii jak we Francji wprowadzić poprawki do adresu, będącego w Anglii jedynie echem mowy tronowej na otwarcie sesji.

Orędzie królewskie istotnie nie wspominało o sprawie polskiej, lecz zawierało jeden nowy, ważny moment: żądało powiększenia floty brytyjskiej. W czasie debaty nad orędziem królewskim, rzecznik sprawy polskiej, lord Dudley Stuart wygłosił doskonałą mowę, obliczoną na poruszenie najżywotniejszych zainteresowań Brytyjczyków. „Ludzie wszelkich stronnictw, we wszystkich częściach kraju — mówił on — są zaniepokojeni niebezpieczeństwem na jakie naraża Moskwa **handel Anglii**, jej stanowisko polityczne w Europie, jej posiadłości indyjskie, wszystko, co dla Anglii jest najżywotniejszym. Ten niepokój wzmógł się w ostatnim czasie przez manewry w Kaliszu i zjazd w Cieplicach czeskich, a mowa cara w Warszawie oburzyła całą Anglię i wywołała największy wstręt. Mowa ta, tchnąca dzikim despotyzmem jest obrazą dla ludzkości, pogardą zaś, jaką wyraża dla traktatów, jest obelgą dla Anglii i dla całej Europy". Mówca wyraża opinię, że w takiej sytuacji ministrowie doradzą królowi zajęcie stanowiska które by usunęło niepokój społeczeństwa, zwłaszcza, że obaj monarchowie: angielski i francuski wspominali o anglo-francuskim przymierzu.

„Wojny radbym i ja uniknąć — mówił dalej Dudley Stuart — ale jedynym sposobem na to — nie bać się jej". Nie zgadzał się on z zasadniczym tonem orędzia królewskiego, nie chcąc jednak utrudniać stanowiska gabinetu, którego wewnętrzną politykę aprobował w całości, zrezygnował z poprawki, zapowiadając swe ponowne wystąpienie na dzień **19 lutego.**

W dniu tym zobrazował on siłę Rosji, jej kolejne zdobycze terytorialne oraz rozszerzenie zasięgu wpływów, domagając się przedłożenia Izbie korespondencji rządowej w sprawie polskiej i tureckiej. Minister spraw zagranicznych odmówił jednak ujawnienia tych dokumentów, ograniczając się do nic nie mówiącej odpowiedzi i zapewnień.

Sprawa polska przybrała nowy obrót w marcu, kiedy (1.3.36) doszła do Londynu wiadomość **o zajęciu Krakowa przez państwa zaborcze.**

Krok ten był wynikiem konferencji monarchów w Münchengrätz i w Cieplicach, wynikiem inicjatywy Petersburga. Palmerston, wprawdzie na wiadomość o ultimatum wystosowanych przez trzech rezydentów rządowi miniaturowej rzeczypospolitej polecił pułkownikowi Barnettowi udać się z Warszawy do Krakowa i zbadawszy sytuację nadesłać dokładny raport, lecz wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybkością. W dniu otrzymania wiadomości o zajęciu Krakowa Stratford Cannig interpelował Palmerstona w Izbie, czy rząd angielski był uprzedzony o tym kroku, na co Palmerston odpowiedział, iż żadnej noty w tej sprawie nie otrzymał i że **zajęcie Krakowa uważa za pogwałcenie traktatu wiedeńskiego.** 18 marca grupa posłów domaga się ściślejszych wyjaśnień rządowych i wówczas to Palmerston precyzuje opinię swoją i rządu, którego jest reprezentantem: **„Krok trzech mocarstw narusza jeden z najważniejszych układów dyplomatycznych obecnej doby".**

W dwa dni potem, korzystając z przedstawienia Izbie petycji w sprawie obrony handlu brytyjskiego, poseł Stewart wezwał ją aby domagała się od króla wysłania przedstawiciela brytyjskiego do Krakowa. Rzecz ciekawa, że znany radykał **Roebuck** wzywał na tej samej sesji do nie mieszania się w obce sprawy nazywając w zapędzie retorycznym rozbiór Polski „zbawiennym w skutkach". Roebuck, będący przecież w zasięgu propagandy skrajnie lewicowej, płynącej z Portsmuth, i z Jersey (**„List otwarty Ludu Polskiego do O'Connela, Attwooda i Roebucka"**) ściągnął na siebie za to wystąpienie słuszny gniew ugrupowań lewicy emigracyjnej i cichą radość obozu arystokratycznego. Zaznaczyć trzeba, że Komisja Przygotowawcza wybrana w Portsmouth przez gromadzian starała się usilnie o kontakty z radykalnymi działaczami brytyjskimi, z czartystami i radykałami, ogłaszając szereg manifestów: **„Do przyjaciół sprawy polskiej w Anglii", „Do radykalistów angielskich", „Do Ludu Wielkiej Brytanii i Irlandii".**

Wystąpienie Roebucka, podobnie do niedawnego wystąpienia agenta obozu arystokratycznego, Beaumonta („panowanie rosyjskie wyszło chłopu polskiemu na dobre") jak również fałsze zawarte w przemówieniach Cobdena i Warburtona spotkały się ze zdecydowanym i otwartym protestem gromadzian. Zresztą, nawet znany z przychylności Rosji Robert Peel i ostrożny zazwyczaj Palmerston przeciwstawili się twierdzeniom Roebucka. Gorzej przedstawiała się sprawa we Francji gdzie rząd Thiersa odmówił wręcz wyjaśnień parlamentowi w sprawie Krakowa.

W Anglii sądzono powszechnie, że rząd wyprawi w najbliższym czasie konsula do Krakowa, jednak w ostatniej chwili rząd decyzję zmienił i z konsulatu zrezygnował. Zabiegi o Polskę Kongresową uległy przerwie, emigracja w Anglii rozbita i skłócona wywoływała niechęć sfer rządowych. „Ogół Londyński" rozwiązuje się, łączy z „Konfederacją Narodu Polskiego", następnie występuje z niej i zakłada odrębne „Zjednoczenie". Gromady Ludu Polskiego separują się od reszty emigracji wyznając zbyt dla niej radykalne hasła, a tymczasem drożyzna i głód gnębią setki emigrantów, z których 150 pozbawionych jest stałej zapomogi. Ministrowie traktują prośby Polaków o powiększenie subsydiów jako zwykłe natręctwo; sytuacja pełna jest beznadziejności, z kraju wieści coraz straszniejsze.

A jednak wierzą w interwencję. Jedni w pomoc gabinetów, drudzy w pomoc ludów. Chwytają się każdej, najbardziej zwodniczej nadziei, ona tylko karmi ich i trzyma przy siłach. Taka nadzieja świta z okazji **afery ze statkiem „Vixen" w roku 1837**, doskonale charakteryzujące polityczną mentalność brytyjską. Chodziło w tym wypadku o kupca angielskiego próbującego handlu bronią z powstańczymi Czerkiesami i aresztowanego następnie przez władze rosyjskie. W obronie interesów handlu brytyjskiego naruszonych w konkretnym wypadku, przez marynarkę rosyjską — gotowa była izba domagać się nawet wojny. Sprawa tak połączyła wszystkie stronnictwa, iż Dudley Stuart, pragnąc przy tej sposobności poruszyć sprawę polską wybrał do tego celu znienawidzonego przez siebie... Roebucka, który istotnie przemówił 17 marca 1837 roku, domagając się wyjaśnień co do „Vixen". Dudley Stuart wysunął stare koncepcje „obelgi" lecz tym razem była to „większa" obelga, bo wyrządzona **brytyjskiemu handlowi.** Mówca miał pole do popisu, mówił przecież już nie o Polsce Kongresowej, na który to temat posłowie przyzwyczaili się reagować ucieczką ze sali, ale o sprawie żywo obchodzącej wszystkich Anglików, **o wolności handlu i żeglugi.**

Sprawa ciągnęła się około roku lecz zatuszowano ją ostatecznie by nadmiernie nie drażnić Petersburga. Wzmocniła ona jednak pozycję Polaków i ich nadzieję. W tym okresie, kiedy sprawa „Vixen" nie była jeszcze rozstrzygnięta ostatecznie, spodziewano się wyzyskać falę nastrojów antyrosyjskich dla przeprowadzenia sprawy konsulatu w Krakowie. W dziennikach ukazało się jednak oświadczenie Palmerstona, że rząd konsula nie wyśle... i zapowiedź Dudley Stuarta, iż w takim razie zdecydowany jest poruszyć kwestię konsulatu jeszcze raz w parlamencie.

W owym czasie rząd angielski, rząd whigów, usiłował **zbliżyć się do Wiednia,** a więc poruszanie sprawy Krakowa i pod tym względem było dlań niepożądane. Z konsulatu brytyjskiego w Krakowie nie wiele można było uzyskać dla interesów brytyjskich, po zbliżeniu się do Wiednia, jak się okazało zresztą po podpisaniu układu handlowego anglo-austriackiego„ — można było spodziewać się realnych korzyści, wprawdzie nie dla honoru narodowego, lecz przynajmniej dla kieszeni. I to stanowisko, z którym emigracja polska nie liczyła się zupełnie lub prawie zupełnie, przeważyło i teraz. Rząd, mając na uwadze ów traktat, nie chciał w ogóle dopuścić do debaty na temat Krakowa, odkładając wielokrotnie wystąpienie Dudley Stuarta i naznaczając je wreszcie na dzień... wyścigów w Epson (25.5.37) kiedy to większość posłów przebywała na torze wyścigowym.

To też Dudley Stuart przemawiał aż do... 40 posłów. Sprawa konsulatu upadła ostatecznie.

W okresie ustawicznych klęsk sprawy polskiej w parlamencie brytyjskim wzrasta znaczenie bezpośrednich kontaktów międzyorganizacyjnych. Grupa Czartoryskiego dysponując takimi kontaktami z frakcjami poselskimi i z wielką arystokracją rodową Wielkiej Brytanii przegrała kampanię o Polskę Kongresową w Izbie Gmin; tym większe znaczenie przypisywał obóz demokratyczny na emigracji zbliżeniu do lewicowych organizacyj brytyjskich. Towarzystwo Demokratyczne ogłasza w 1837 r. manifest w języku angielskim, komunikują się z organizacjami proletariackimi i radykalnymi jak na przykład ze Stowarzyszeniem Wyrobników Londyńskich i protestuje przeciwko uroszczeniom księcia Czartoryskiego do reprezentowania Polski. Organizacje Ludu Polskiego osłabione rozbiciem i intrygami wewnętrznymi oraz toczącym je sekciarstwem, nawiązują łączność zarówno z prekursorami irlandzkimi jak i czartystami angielskimi, sprawa polska schodzi dosłownie na ulicę.

Po śmierci, podtrzymującego napięcie anglo-rosyjskie, Wilhelma IV i wstąpieniu na tron młodocianej królowej **Wiktorii, parlament brytyjski zamknął się przed sprawą polską.** Nieprzychylnych sobie czartorystów i prekursorów sprawa polska połączyła: obie grupy widzą w antyfrancuskim zbliżeniu anglo-rosyjskim groźne niebezpieczeństwo zwrotu ku polityce reakcyjnej. Przyjazd do Londynu carewicza Aleksandra dał okazję zamanifestowania prawdziwych uczuć szerokich mas społeczeństwa brytyjskiego do Polski. Manifestacje antycarskie przybrały tak wielkie rozmiary że przestraszone Literackie Towarzystwo Przyjaciół Polski ostrzegało Polaków przed mieszaniem się „w wewnętrzne sprawy Anglii".

Sprawa polska nie przedstawiała dla polityków angielskich już żadnej możliwości rozgrywki z partnerem, z którym szło się na sojusz. Sprawa Polaków w Anglii była wprawdzie nieprzyjemną i niewygodną jednak trzeba się było liczyć nie tylko z dworem petersburskim lecz także z uczuciami tłumu. Uczucia te warte były nie mniej nie więcej tylko 10.000 funtów rocznie, wydawanych na zapomogi dla emigrantów, bez względu na to jaką siłę kupna przedstawiał w danym okresie funt. Uchwalono też corocznie ową sumę, kategorycznie protestując przeciwko każdej proponowanej przez Izbę podwyżce, jak na przykład przeciw projektowi lorda Sandona, aby dotacje zwiększyć o 5000 funtów rocznie.

Sprawa podwyżki dotacji toczyła się dłuższy czas, popierana krasomówstwem O'Connela, wywołała nawet, dzięki akcentom politycznym, protest ambasadora Pozzo di Borgo i zakończyła się szczęśliwie uchwaleniem zapomóg dla emigrantów, nie objętych listą rządową.

Na początku ery wiktoriańskiej zjawia się jeszcze raz nadzieja na interwencję, z związku z nadchodzącą **wojną belgijską** (1839). Na emigracji mówi się głośno o zbliżającej się **wojnie europejskiej,** jedynie radykali i demokraci ostrzegają przed próżnymi nadziejami, podsycanymi przez obóz Czartoryskiego. Znane stanowisko Ludu Polskiego znajduje swój wyraz w proteście przeciwko braniu udziału w lokalnych wojnach europejskich, lecz umysły są już zmęczone, wrogość wobec Czartoryskiego maleje wraz ze wzrostem beznadziejności sytuacji wychodźctwa w Anglii.

Pierwszy okres sprawy polskiej w parlamencie brytyjskim dobiega końca. Z kraju nadchodzą przygnębiające wieści o wykryciu pierwszych organizacyj konspiracyjnych, mówi się już o uwłaszczeniu chłopów polskich przez Rosjan, o powtórnym najeździe na Kraków itp.

Do Londynu przybywa sam cesarz rosyjski Mikołaj, witany owacyjnie przez rząd i demonstracyjnie przez społeczeństwo, oburzone jego wizytą.

Działać — to znaczy działać w kraju — dochodzą do wniosku przywódcy emigracyjni rozgoryczeni niepowodzeniami. I przestawiać będą swe wysiłki na prace wśród społeczeństwa polskiego, na kraj.

Hołuj Tadeusz.

BIBLIOGRAFIA

„Pielgrzym Polski" 1833.
„Tygodnik Emigracji Polskiej" część VIII.
„Wiadomości Krajowe i Zagraniczne" rok 1837.
„Rocznik emigracji polskiej" 1835.
„Sybilla tułactwa polskiego" 1833, 1834.
„Młoda Polska" 1838, 1839.
Marceli Handelsman „Anglia—Polska" 1814 — 1864", Warszawa, 1917.
Vademecum polskie — K. A. Hoffman, Paryż 1839.
Noworocznik Demokratyczny — Paryż 1842.
„Jenerał Zamoyski 1803—1868", Poznań 1914.
Bolesław Limanowski „Stanisław Worcell", Kraków, 1910.
„Nowa Polska", Paryż 1833.
„Zbadanie sprawy z rozpraw odbytych w Izbie Niższej (Minor od Parliament) — Paryż 1832.
„La Pologne et L'Angleterre, ou adresse des refugiés polonais en France. Paris 1832"

JÓZEF GÓRSKI

Rola postępowej ideologii *)

Masy ludowe są główną, decydującą siłą rozwoju społecznego. Ich praca, ich energia, poświęcenie, walka, bohaterstwo — oto motor biegu historii. Tylko wielki cel, wielka idea mogą tę energię wykrzesać. Dzieje ludzkie nie biegną obok ludzi, poza nimi, automatycznie — przeciwnie, są wynikiem ich **świadomej** działalności. Uproszczenia procesów rozwoju społecznego przez wulgaryzatorów marksizmu, nie rozumiejących czy też świadomie fałszujących twórczego ducha marksizmu, jakoby rozwój społeczny i całe przebogate, wszechstronne duchowe życie człowieka i społeczeństw były uwarunkowane czynnikami wyłącznie ekonomicznymi, materialnymi jest zapoznawaniem niezbitej prawdy o doniosłej roli wielkich, postępowych idei społecznych, o ich roli organizującej i przekształcającej rzeczywistość.

Gdy obecna filozofia egzystencjalizmu — filozofia beznadziejności, zwątpienia i pesymizmu lub spenglerowski katastrofizm ogarnia sferę ideologiczną upadających klas społecznych, a gdy jednocześnie widzimy z ich strony próby podtrzymania siłą ustroju kapitalistycznego — marksizm daje perspektywę wszechstronnego rozwoju społecznego, rozwoju, zmierzającego do pełnego rozkwitu możliwości i zdolności indywidualnych człowieka. Walka klasowa proletariatu, wyrosła na gruncie konfliktu między rozwijającymi się siłami wytwórczymi, a kapitalistycznymi stosunkami produkcji, zrodziła ideologię klasy robotniczej — marksizm. Na długim etapie historycznym ideologia ta odgrywała dziejową rolę **wyodrębniania** świadomości klasowej proletariatu, zaostrzania jego **odrębności** klasowej, by tym lepiej przygotować go do roli grabarza ustroju kapitalistycznego. W okresie rozkładu kapitalizmu — w okresie imperializmu coraz bardziej uwydatnia się ogólno-ludzki i ogólno-społeczny charakter ideologii klasy robotniczej, a najdobitniej nowy charakter tej ideologii ujawnił się w okresie wojny z barbarzyńskim faszyzmem hitlerowskim, gdy Związek Radziecki — kraj zwycięskiego marksizmu zajął czołową pozycję w walce o wyzwolenie ludzkości od tyranii hitlerowskiej a w poszczególnych krajach obóz marksistowski stanął na czele walki o **narodowe** wyzwolenie przeciwko agresji hitlerowskiej i przeciwko zdradzie własnego narodu ze strony obozu broniącego dotychczasowego porządku społecznego.

Tę nową rolę historyczną widzą nie tylko marksiści. Następuje przełom w umysłach wielu ideologów burżuazyjnych.

Oto, co pisze jeden z najwybitniejszych przedstawicieli obozu katolickiego we Francji **Emanuel Mounier****):

„Strukturalny kryzys, jaki przeżywa obecnie Francja, tkwi w nożycach pomiędzy idącą do dymisji klasą społeczną, a niedostatecznie przygotowaną klasą, która władzę po niej obejmuje..., ale gdy patrzymy w przyszłość, jeżeli jest jakaś przyszłość dla naszych sił żywotnych, pozwala ona na najszczersze nadzieje.

Jedynie klasy społecznie młode pozwolą nam wytworzyć wśród postarzałego Zachodu, młodą kulturę i nowego ducha".

Byt społeczny, świadomość społeczna i ich wzajemne oddziaływanie

Świadomość społeczna istnieje w umysłach **poszczególnych** ludzi ale jest ona zwykłą sumą poszczególnych indywidualnych świadomości. Świadomość społeczna nie istnieje w oderwaniu i poza świadomością poszczególnych jednostek, sama indywidualna świadomość nie może nie być społeczną świadomością, gdyż rodzi się ona i rozwija, jako rezultat stosunków międzyludzkich w aktywnej walce z przyrodą i w walce społecznej. Treścią życia społecznego jest nieustanne wzajemne oddziaływanie ludzi. Świadomość indywidualna człowieka i świadomość społeczna są jednocześnie tożsame i jednocześnie różne. Tożsame — bo treść indywidualnej świadomości nie może być nie społeczną. Różne — bo świadomość społeczna — to zjawisko wielostronne, wielokierunkowe, przebiegające różnie w różnych klasach, warstwach i grupach danego społeczeństwa.

Świadomość człowieka, jego psychiczne właściwości nie tylko **przejawiają** się, ale i **kształtują** w konkretnej działalności, w procesie pracy i walki. Dziedziczne właściwości są istotnymi przesłankami rozwoju człowieka, ale one tylko warunkują, a nie określają z góry rozwoju osobowości człowieka, gdyż świadomość w istocie swojej jest produktem społecznym — jest uświadomieniem sobie bytu i z niego czerpie swą treść, rozwija się dzięki społecznej pracy ludzkiej. Ale ponieważ kształtuje się dzięki **działaniu aktywności i praktycznemu** ustosunkowaniu się do bytu, świadomość jest nie tylko **odbiciem** bytu, ale i jego stosunkiem, oceną, motorem przekształcania. Stąd czynna postawa i aktywna rola świadomości ludzkiej.

Świadomość społeczna, tak jak i psychika ludzka, nie tylko **przejawia** się, ale kształtuje się, rozwija w procesie działalności społecznej, w walce. Świadomość społeczna jest nie tylko **odbiciem** bytu społecznego, ale czynnie, aktywnie go kształtuje i w miarę tego, jak poznaje jego prawa i prawidłowości, im **dokładniej** odzwierciadla jego tendencje i dążenia, tym lepiej i sprawniej może go kształtować zgodnie ze swoimi celami i pragnieniami. Pojmowanie świadomości społecznej, jako prostej funkcji warunków bytowania, nie jest zgodne z ideą marksizmu.

Marksizm wyrósł i rozwijał się w walce z idealizmem, którego przezwyciężenie mogło jedynie stworzyć podstawę filozoficzną i socjologiczną dla socjalizmu naukowego.

Marksizm — to idea walki, czynu, twórczego działania. Historyczną jego zasługą jest to, że wykrył prawa rządzące rozwojem społecznym, że uzbraja do poznania świata i do zmiany świata. W pierwszej fazie swego rozwoju, w walce z idealizmem, marksizm akcentował przede wszystkim stronę ekonomiczną procesów dziejowych. W liście do Józefa Blocha z dnia 21 września 1880 roku Engels pisze: „To, że młodzi przypisują niekiedy większą, niż należy, wagę stronie ekonomicznej, jest zapewne częściowo winą Marksa i moją. W polemice z przeciwnikami wypadało nam akcentować zaprzeczaną przez nich zasadę naczelną i wobec tego nie zawsze mieliśmy dosyć czasu, miejsca i sposobności do ostatecznego uwzględnienia pozostałych momentów, uczestniczących w procesie wzajemnego oddziaływania".

Niewątpliwie warunki społecznego bytowania w „ostatniej instancji" określają świadomość społeczną ludzi, ale w tym skomplikowanym procesie społeczno-ekonomicznym działają i oddziaływują na siebie nie maszyny, nie automaty, lecz ludzie ze swoimi nawykami i tradycjami, ze swoimi pragnieniami i dążeniami. Ta wewnętrzna dynamika rozwoju społecznego, pełna tarć i sprzeczności, pełna wzlotów i upadków jest procesem skomplikowanym, złożonym — procesem dialektycznym.

Ideologia, różne formy świadomości społecznej powstają na danym stopniu rozwoju ekonomicznego, którego są wytworem, ale powstając nabywają **swoistych praw rozwoju** i pod wpływem tych własnych wewnętrznych praw rozwijają się oddziaływując na byt społeczny, który z kolei kształtując świadomość społeczną napotyka na tę wewnętrzną specyfikę, jaka się wytworzyła z biegiem czasu w świadomości społecznej.

„Siła przyzwyczajenia milionów i dziesiątków milionów — to siła najstraszniejsza" — twierdzi Lenin („Dziecięca choroba" lewicowości w komuniźmie"). Własne nawyki, tradycje, własne doświadczenia — to są elementy, które składają się na t.zw. **względną samodzielność** nadbudowy ideologicznej, która bynajmniej nie znika od razu wraz z zanikiem jej podstawy ekonomicznej, której w gruncie rzeczy jest wytworem. Ten moment inercji, pewnego konserwatyzmu, ociągania się ideologii w stosunku do rozwoju warunków bytu jest właśnie powodem tego, że gdy formy rozwoju społeczno-ekonomicznego daleko poszły naprzód — jednak w świadomości ludzi, w świadomości społecznej przewagę mają przez pewien czas dawne, przestarzałe, stare idee i poglądy. Stąd ogromna rola postępowej awangardy na każdym szczeblu rozwoju historycznego, rola przyśpieszenia procesów historycznych. Ta postępowa idea ucieleśniona w postępowej awangardzie społeczeństwa zdobywa umysły i świadomość mas społecznych, tych które faktycznie historię tworzą. Żadna jednak ideologia, nawet najbardziej świadomej awangardy, nie odtwarza całego bogactwa rewolucyjnego procesu historycznego.

„Historia w ogóle, a w szczególności historia rewolucyj jest zawsze bogatsza pod względem treści, różnorodniejsza, bardziej wielostronna, żywsza, bardziej „mądra", niż sobie wyobrażają najlepsze partie, najbardziej świadome awangardy najbardziej przodujących klas. Jest to wszak zrozumiałe, bo najlepsze awangardy są wyrazem świadomości, woli, gorącego zapału, wyobraźni dziesiątków tysięcy, rewolucji zaś dokonywuje w chwilach szczególnego wzniesienia i napięcia wszystkich zdolności ludzkich — świadomość, wola, gorący zapał, wyobraźnia dziesiątków milionów, podniecanych przez najostrzejszą walkę klas". (Lenin — „Dziecięca choroba" lewicowości w komuniźmie"). Stosunek jednostronnej, nieodwracalnej zależności między przyczyną a skutkiem jest abstrakcją i upraszczaniem obrazu rzeczywistości. Pogląd, że źródeł wszystkich poczynań ludzkich należy szukać **wyłącznie** w ekonomice opiera się na niedialektycznym wyobrażeniu o przyczynie i skutku, jako o nieruchomo przeciwstawnych biegunach, gdy tymczasem odbywa się proces nieustannego wzajemnego oddziaływania na siebie przyczyny i skutku.

Engels w liście do Franciszka Mehringa (14 lipca 1893 r.) przyznaje, że tę stronę zagadnienia klasycy marksizmu nieco zaniedbali:

„Tę stronę sprawy, na którą mogę tutaj tylko wskazać, zaniedbaliśmy wszyscy, jak sądzę, bardziej niż na to zasługuje. Stara to historia: zawsze zaniedbuje się na początku formę dla treści."

W wielu pracach i listach z późniejszego okresu Engels wyjaśnia, jak należy właściwie rozpatrywać to zagadnienie:

Między innymi w liście do Starkenburga (25 stycznia 1894) pisze:

„Rozwój polityczny, prawny, filozoficzny, religijny, literacki, artystyczny, itd. oparty jest na rozwoju ekonomicznym. Ale wszystkie te czynniki oddziaływują wzajemnie na siebie i również na podstawę ekonomiczną. Sprawa nie przedstawia się w ten sposób, że jedynie położenie ekonomiczne jest przyczyną, że ono tylko stanowi **jedyny czynnik aktywny,** wszystko zaś inne jest wyłącznie biernym skutkiem. Przeciwnie zachodzi tu wzajemne oddziaływanie...".

Właściwa ocena roli idei i świadomości społecznej toruje sobie drogę w walce z dwiema skrajnościami: **z idealizmem,** dla którego idea, myśl ludzka jest **jedynie** określającym, decydującym czynnikiem rozwoju społecznego i z **materializmem ekonomicznym,** z tą wulgarną teorią automatyzmu, żywiołowości, jednostronnego, mechanicznego ujmowania roli sił ekonomicznych w rozwoju społecznym.

Wszędzie i zawsze w historii wielkie ruchy społeczno-polityczne były poprzedzane lub szły równolegle z walką idei, światopoglądów. Stąd idealizm przedmarksowski widział i podkreślał rolę idei jako przyczyny jedynie kształtującej dzieje i stąd nieubłagana walka Marksa i Engelsa z idealizmem o naukowy światopogląd przy jednoczesnym świadomym, nieuniknionym podkreślaniu, że zródła przemian społeczno - politycznych szukać należy **przede wszystkim** w zmianach struktury ekonomicznej i stosunkach produkcyjnych. Idealizm nie jest w stanie wyjaśnić, dlaczego w tym okresie, w tych konkretnych warunkach i środowiskach powstają takie względnie inne idee, dlaczego jedne idee zwyciężają a inne ponoszą klęskę. Nie jest w stanie wyjaśnić, bo obraca się tylko w dziedzinie myśli spekulacji umysłowej, nie sięgając do istotnych, właściwych źródeł.

Idei, która otwiera przed człowiekiem i masami społecznymi nieograniczone możliwości działania i świadomego oddziaływania, idei, która tak zrewolucjonizowała świat, która dając klucz do poznania dziejów społecznych umożliwia kierowanie nimi w myśl własnych celów i dążeń—tej idei zarzuca się, że pomniejsza rolę świadomości społecznej, rolę duchowego kształtowania rzeczywistości. Czy właśnie nie strach przed wielką rewolucyjną rolą tej ideologii powoduje zaciekłe ataki przeciwko marksizmowi ze strony tych warstw i środowisk, które są zagrożone w swym istnieniu? Czy u nas w kraju nie jesteśmy świadkami tego, że ci wszyscy, którzy zawzięcie bronią dawnego porządku społecznego, prowadzą walkę z ustrojem ludowo - demokratycznym właśnie pod hasłem walki z „bezdusznym materializmem".

„U nas w Polsce w **zasadzie** rozwiązany został antagonizm między przestarzałymi stosunkami produkcji a rozwijającymi się siłami wytwórczości. Nowy proces historyczny może być utrwalony i doskonalony jedynie, gdy ideologia klas społecznych, które doszły do głosu, opanuje szerokie masy i uczyni z nich świadomych twórców losów kraju. Im głębiej nowe postępowe idee opanują masy narodu, tym szybciej stworzone zostaną warunki dla pełnego i wszechstronnego rozwoju człowieka.

Ewolucja świadomości społecznej

Postępowe idee nie byłyby tak wielką siłą, gdyby się odgradzały od życia i prowadziły żywot w izolacji od doświadczenia. Wyrastają one z praktycznych potrzeb ludzkich i ich przeznaczeniem jest służyć ludziom jako oręż w walce o lepszy byt. Ta praktyczna działalność leży nie tylko u podstaw powstania , idei ale i jej rozwoju.

Praktyczna działalność ludzi, praktyka rozwoju społecznego jest wiernym kryterium słuszności idei. Przez praktykę rozumiemy wszechstronną działalność i walkę ludzi, w toku praktyki odbywa się proces uogólniania

---

*) Fragmenty większej całości.

**) Emanuel Mounier — Przekrój ideowy Francji 1946 roku „Znak" Nr 3, 1946 r.

ogólno ludzkiego historycznego doświadczenia. W pracy swej „Zagadnienia leninizmu" Stalin podkreśla:

„Teoria to doświadczenie ruchu robotniczego wszystkich krajów, ujęte w jego ogólnej postaci. Oczywiście teoria staje się bezprzedmiotową, gdy nie jest związana z rewolucyjną praktyką, tak samo jak praktyka staje się ślepą, jeśli nie przyświeca jej rewolucyjna teoria. Ale teoria może przekształcić się w ogromną siłę ruchu robotniczego, jeżeli zachowuje stałą więź z praktyką rewolucyjną, gdyż właśnie teoria i tylko ona daje ruchowi pewność, siłę orientacji i zrozumienie wewnętrznej więzi między zachodzącymi zjawiskami, — gdyż tylko ona może pomóc praktyce zrozumieć nie tylko to, jak i w jakim kierunku odbywa się współczesny ruch klas społecznych, ale i to jak i dokąd mają być skierowane w najbliższej przyszłości".

Siła marksizmu ma swoje źródło w nierozerwalnej łączności z praktyką rewolucyjną. Rola i znaczenie świadomości społecznej nabiera na sile szczególnie w przełomowych chwilach historii społeczeństw ludzkich.

Rozwój świadomości społecznej nie odbywa się w prostej linii jak rozwój ekonomiczny, jest procesem zygzaków i odchyleń, jest uwarunkowany rozmaitymi uchwytnymi i niedostrzegalnymi przyczynami, ale podstawą jego jest jednak byt społeczny, rozwój ekonomiczno-społeczny:

„Na różnych formach własności, na społecznych warunkach bytu wznosi się cała nadbudowa różnych i swoiście ukształtowanych uczuć, złudzeń, sposobów myślenia i poglądów życiowych. Tworzy je i kształtuje cała klasa na gruncie swych materialnych podstaw istnienia i odpowiednich stosunków społecznych. Poszczególna jednostka która wchłania je drogą tradycji i wychowania może sobie uroić, że to one stanowią właściwe pobudki i punkt wyjścia jej działalności" (K. Marks — 18 Brumaire'a Ludwika Bonaparte).

Marks mówi tu, że „na społecznych warunkach bytu wznosi się cała nadbudowa różnych i swoiście ukształtowanych uczuć, złudzeń, sposobów myślenia i poglądów życiowych". Właśnie pomiędzy tym bytem społecznym a świadomością społeczną, która zawiera całokształt uczuć, poglądów i myśli, istnieje więź dialektyczna i odbywa się proces wzajemnego oddziaływania.

Świadomość społeczna nie odgrywa tu roli biernej w formowaniu się bytu społecznego, przeciwnie — odgrywa tu rolę kształtującą, czynną i ta rola jest tym znaczniejsza, tym owocniejsza, im ściślej, im dokładniej, im prawidłowiej jest ona odbiciem obiektywnych procesów, zachodzących w życiu społecznym. Rozwój społeczny nie odbywa się bez udziału świadomości społecznej. Historię tworzą ludzie obdarzeni świadomością, która jest niezbędnym i koniecznym czynnikiem społecznej działalności. Zaś zadanie teoretyka, przewodnika idei postępowej, polega na tym, by we współczesności odkryć zarodki przyszłości, uświadomić sobie ich wagę i znaczenie, uogólnić je i ująć w formie idei, która zdolna jest prowadzić do walki. „Genialność Marksa — powiada Lenin polega właśnie na tym, że on dał odpowiedź na zagadnienia, które przodująca myśl ludzka już sobie postawiła". Świadomość społeczna w rozwoju swoim nie nadąża za rozwojem społecznym. Wiele czynników a wśród nich najważniejsze: tradycje, nacisk ideologiczny wstecznych ideologii itp. wpływa hamująco na jej rozwój. Kapitalizm z jego wieloraką nadbudową ideologiczną nie daje i nie może dać możliwości klasie robotniczej pełnego rozwoju jej świadomości społecznej. Kapitalizm powstaje i rozwija się jako rezultat żywiołowego rozwoju stosunków towarowych, ślepej gry sił ekonomicznych, konkurencji, walk i sprzeczności wewnętrznych. Ta anarchia wytwórczości — to prawo rozwoju kapitalizmu, to jego żywioł. W warunkach kapitalistycznych siły wytwórcze, stosunki wytwórcze, stworzone przez ludzi, zniewalają swoich własnych twórców, panują nad nimi jako siły żywiołowe, narzucone zzewnątrz. Każdy z oddzielna w społeczeństwie kapitalistycznym myśli i działa świadomie, stawia sobie cele i dąży do ich realizacji, ale całość, społeczność podlega rozwojowi żywiołowemu. I to jest nieuniknione w warunkach kapitalistycznych. Właśnie istotna różnica między prawami socjalizmu i prawami kapitalizmu polega na tym, że społeczeństwo które zrzuciło panowanie klasowe **stawia sobie zadanie** zmienić warunki które przeszłość zostawiła w spadku. Nie tylko nie chce „uwiecznienia" przeszłości, ale przeciwnie — świadomie, planowo poprzez zorganizowaną działalność ludzką zmierza do spełnienia celów, pierwej postawionych i wytyczonych.

Marks twierdził, że klasie robotniczej potrzebna jest rewolucja nie tylko po to, żeby obalić stary ustrój i ustanowić nowy porządek społeczny — jej potrzebna jest rewolucja i po to, żeby samej oczyścić się z brudów starego ustroju, z ogromu nawyków, przesądów, przyzwyczajeń, zasad moralnych, poglądów itp. jakie przeszłość pozostawiła. Nowa świadomość społeczna tworzy się powoli. Zasada inercji, konserwatyzmu, **względnej samodzielności** świadomości społecznej nie przestaje obowiązywać i po obaleniu władzy kapitalizmu. Ale w nowych warunkach, gdy stare ideologie straciły swą bazę ekonomiczną i polityczną, nowa świadomość ma jakościowo inne możliwości rozwoju i tempa, świadomość zwycięskich klas społecznych rozwija się nie tyle w procesie **wyodrębniania się** ale zdąża do włączenia w orbitę swego zasięgu jak najszerszych warstw społeczeństwa. A sprzyjają temu nowe warunki władzy ludowej — władzy ekonomicznej i politycznej. W tym okresie szczególną wagę ma praca ideologiczna, uświadamiająca. Nowy ustrój może zwyciężyć tylko pod warunkiem, gdy ludzie zrozumieją, na podstawie własnego doświadczenia i dzięki pracy ideowej, że **nowy** być musi stosunek do pracy, że **nowa** musi być moralność, że odtąd sami **świadomie** tworzą historię.

Nasza demokracja ludowa, która „posiada wiele elementów demokracji socjalistycznej, jak również wiele elementów demokracji liberalno-burżuazyjnej, podobnie jak nasz ustrój gospodarczy posiada wiele cech gospodarki socjalistycznej oraz kapitalistycznej" (Gomułka Wiesław), dokonała wielkiego przełomu w strukturze ekonomicznej oraz w układzie sił politycznych. Ale rozmach ideologiczny, rozwój nowej świadomości społecznej dzięki specjalnym kompleksom, które w naszym kraju działają, odbywa się proporcjonalnie niezmiernie wolno. Bez aktywnego udziału nowej postępowej świadomości społecznej nie może być dalszego rozwoju w kierunku socjalizmu naszej ekonomiki i ustroju politycznego. Stąd ogromne zadania przed postępowymi ideologami naszego okresu, a w pierwszym rzędzie przed zorganizowanym obozem marksistowskim. Bo marksizm, to nie tylko idea burzenia kapitalizmu — marksizm, to budowanie przyszłości dla całego narodu.

Nie ma zwycięstwa idei bez walki o jej realizację.

Świadomość klasową i samopoznanie, świadomość swych interesów i swej misji historycznej, świadomość konieczności walki o realizację idei, zawdzięcza klasa robotnicza ideologii marksistowskiej. Na czym polega misja historyczna klasy robotniczej? Wyzwalając siebie, znosi wszelki wyzysk klasowy. Realizując swoje postulaty, urzeczywistnia marzenia i pragnienia wielu pokoleń. Będąc nosicielem idei **klasowej**, jest też reprezentantem idei **ogólnoludzkiej, ogólnospołecznej**. Jest to **klasa** najbardziej postępowa w dotychczasowej historii ludzkości i **idea** jej jest najbardziej postępowa. Klasa robotnicza walką swą zamyka prehistorię społeczeństwa ludzkiego, a zwycięstwem swym otwiera okres prawdziwej świadomej historii ludzkości.

Celem walki klasy robotniczej jest społeczeństwo bezklasowe. Rozwój świadomości klasy robotniczej, rozwój ruchu klasowego nie rozwija się prostolinijnie i bynajmniej nie jest prostym odbiciem rozwoju ekonomicznego poszczególnych krajów. Przebija się, kroczy ku socjalizmowi, ale nie drogą gładką i prostą ale swoistymi zygzakami historycznymi różnie w różnych krajach, różnie w różnych okresach.

Idea marksizmu daje klasie robotniczej skuteczną broń poznania i radykalnego przeobrażenia rzeczywistości. Jeśli nasze poglądy, obyczaje i tradycje tkwią — jak twierdzimy — korzeniami w ekonomice społeczeństwa, to stąd wniosek, że zmienić, usunąć je można tylko przez radykalne zmiany w bazie ekonomicznej. Ponieważ jednak w ustroju kapitalistycznym na straży tej struktury ekonomicznej stoi jej wykładnik polityczny — państwo klasowe, stąd niezbędnym warunkiem jest likwidacja politycznej władzy klasowej warstw wyzyskujących. I tylko wówczas świadoma i aktywna działalność ludzi jest w stanie **zmienić** te warunki, które pozostawiła w spadku przeszłość. **Zmienić** poprzez działalność, kierowaną i określaną **uprzednio wytyczonymi celami** i osiągającą określone uprzednio rezultaty.

Idei klasy robotniczej, która reprezentuje najdalej idący postęp i zgodna jest z rzeczywistym procesem społeczno-ekonomicznym rozwoju, nie może grozić dogmatyzm, rutyna i skostnienie. Jest ona śmiała i dalekosiężna, jest twórcza i rewolucyjna. Klasa, do której należy przyszłość nie chce nakreślać jakichkolwiek granic myśli ludzkiej, gdyż tylko myśl nieskrępowana zdolna jest coraz bardziej ujawniać sprzeczności ginącego ustroju, a więc siłą rzeczy służy ona postępowi.

Nie chcemy stawiać granic badaniom naukowym, badaniom rozwoju społecznego. Ale rozwój badań i nauki tylko wówczas służy postępowi, gdy toczy się walka o skierowanie, o zużytkowanie jej wysiłków dla dobra ludzkości, dla dobra postępu, a nie dla cofnięcia biegu historii.

Najszczytniejsza, najbardziej postępowa idea nie zwycięży, gdy nie będzie tej siły społecznej, która **walczy** o jej realizację. Mało jest **chcieć** osiągnąć jakiś cel, nie dość wyznawać i być zwolennikiem jakiejś idei — choćby najbardziej postępowej należy walczyć o wprowadzenie jej w życie. Bez walki, bez ofiar nie może być zwycięstwa postępowej idei. Zasada ta jest słuszna nie tylko dla ustroju kapitalistycznego, ale obowiązuje i po usunięciu jego podstaw.

I w naszych warunkach, gdy grupy społeczne, reprezentujące obóz restauracji kapitalizmu, toczą bój o każdą pozycję, gdy spuścizna dawnych ideologii burżuazyjnych powoli w minimalnym stopniu ustępuje z placu, taktyka kompromisu i ustępstw na rzecz reakcji, zamiast walki z nią i jej ideologią jest hamowaniem postępowego rozwoju społecznego. Na obecnym etapie rozwoju polski obóz marksistowski walczy o duszę narodu, która w szerokich jeszcze warstwach społeczeństwa jest dwoista, pełna sprzeczności i wewnętrznych zahamowań.

Tylko drogą **ofensywy ideologicznej**, docierającej do głębin psychiki narodu, do jego tradycji, pragnień i dążeń, tylko drogą **walki** z pozostałościami ideologii burżuazyjnej w świadomości mas ludowych przy jednoczesnym unieszkodliwianiu wszelkich prób **restytucji** sił ekonomicznych i politycznych reakcji — rozwój społeczny na drodze postępu może być zagwarantowany.

Józef Górski

PARTIA WOLNOŚCI

Rocznica zburzenia Bastylii zastanie w r. 1947 lud francuski ponownie zagrożony w swych prawach. Francja zaczyna obecnie przeżywać zwykłe koleje narodu, w którym zwycięża idea wolności: od wewnątrz i od zewnątrz rzuca się kłody pod nogi partii postępu.

Półtora wieku temu rewolucyjne mieszczaństwo francuskie ogłosiło obronę ojczyzny. Mieszczanin Carnot stał się „organizatorem zwycięstwa", synowie adwokatów i bednarzy byli oficerami armii broniącej wolności. Wolności ludu i Republiki. Dziś nazywamy to wojną przeciw interwencji. Historia nie powtarza się w swej treści, ale stwarza podobne sytuacje: sytuacja rewolucyjnej Francji z czasów Valmy powtórzy się co najmniej trzykrotnie w ciągu następnych 150 lat: w r. 1848 armia carskiej Rosji stłumiła austro-węgierska wiosnę ludów, w r. 1918—19 robotnicze oddziały Armii Czerwonej walczyły na całej przestrzeni ZSRR z interwencją mocarstw kapitalistycznych, w r. 1937 demokracja hiszpańska uległa po dwuletnich zmaganiach interwencji włosko - niemieckiego faszyzmu. W ciągu półtora wieku kilkakroć zmieniła się treść historyczna, armie Kellermana pod Valmy i Listera pod Madrytem walczyły w obronie innych rewolucji; ale sytuacja pozostała podobna, mechanizm nie uległ zmianie — naród, który sięga po wolność, musi hartować broń. Gdziekolwiek realizują się hasła postępu, tam natychmiast zaczyna działać penetracja wstecznictwa. Własnego i obcego. Francja miała swych Wandejczyków, Austria — Windischgraetza, Rosja — Denikina, Hiszpania — swego Franca. Zawsze i wszędzie drzwi dla interwencji otwiera wewnętrzne wstecznictwo.

Oczywiście, byłoby zbyt pochopne za pomocą takich analogii oceniać dzisiejszą sytuację Francji. Wielki odłam narodu wypowiedział się wprawdzie za partią komunistyczną, która reprezentuje obóz radykalnej reformy, ale partia ta nie pochwyciła władzy i, jak dotychczas, wydaje się daleka od stworzania sytuacji rewolucyjnej w kraju. Niemniej jednak jest partia wielkiej części Francuzów, skupiająca w swych szeregach aktyw ruchu robotniczego i awangardę intelektualną. Nie zapominajmy, że dzieje się to w tej stronie Europy, którą obejmuje koncepcja bloku zachodniego, bloku — zapory, która miałaby ochronić kapitalistyczny zachód przed falą reform społecznych, podjętych w krajach Europy środkowej. Dla tego bloku kupiono już Belgię — wmontowano ją w zaporę, odbierając jej przy okazji praktyczny wpływ na Kongo belgijskie, dziś — strefę interesów USA.

Na wschód od Renu biegną anglosaskie zony okupacyjne, na zachodzie, po drugiej stronie kanału La Manche, leży wyspa brytyjska, niezmiennie grożąca powrotem antyludowej polityki Churchilla, na południe od Pirenejów wschodzi nowa monarchia hiszpańska z przyszłym regentem Franco, wierna baza amerykańsko - angielskich trustów, na północy — łatwo przenikalna Belgia z chrześcijańsko - demokratycznym rządem, zależnym od War Office.

Nie trudno zrozumieć, dlaczego w tym układzie geograficzno - politycznym głos gen. de Gaulle brzmi nieco złowieszczo. Generał, którego koneksje z organami imperialistycznej polityki obydwóch mocarstw anglosaskich zostały dość jasno ujawnione, wypowiada dziś w swych przemówieniach opinię o Francji, a nie opinię Francji. Naród w wyborach wypowiedział się po stronie partii reformy, generał w manifestach wypowiada się za kapitałem prywatnym. Jego głos brzmi donośnie, bo wychodzi z płuc potężnych sąsiadów, których de Gaulle jest tylko tubą.

Niedawne wielkie strajki francuskie potwierdziły solidarność tamtejszych mas pracujących w walce o swe prawa. Robotnik francuski chce bronić wolności, bo wie, co oznacza słowo „wolność" równie dobrze, jak jakobiński sankiulota w r. 1789. Leon Blum, stary przywódca SFIO, ostatni klerk wśród mężów stanu, dziś daleki od ideologii ruchu robotniczego, poddaje w wątpliwość socjalistyczną treść tego słowa i wysuwa hasło obrony człowieka. Ale metalowiec paryski, czy górnik z Lille rozumieją, że nie ma obrony człowieka w ramach systemu, w którym człowiek ginie. Walcza więc z systemem, aby ocalić człowieka. A Blum? Blum podsuwa człowiekowi inne ocalenie: blok. Zachodni blok dla ratowania duszy. Blum jest demokratą i broni człowieka. De Gaulle jest kryptofaszystą, a sprawy człowieka są mu zapewne obojętne — ale w oczach historii siwy wódz socjalistów i długonosy następca Boulangera podali sobie ręce. Jest niewątpliwe, że uścisk ten będzie się zacieśniać. Jest niewątpliwe bowiem, że robotnicza lewica francuska, jak niegdyś mieszczańska partia wolności po Wielkiej Rewolucji, nie przestanie bronić dobra ludu i Republiki przed słabością wewnętrzną i naciskiem z zewnątrz.

Kandyd

PRZEGLĄD PRASY

Teatr, który bardziej bezpośrednio i bardziej skutecznie może oddziaływać na najszersze masy nowych konsumentów niż inne dziedziny sztuki, stał się w pewnym sensie centralnym punktem porządku dziennego zagadnień kulturalnych w Polsce. Nic więc dziwnego, że prócz trzech specjalnych wydawnictw poświęconych sprawom teatru, prasa literacko-społeczna poświęca mu niejedną kolumnę. O ile w tygodnikach literackich znajdowaliśmy prócz obszernych i często bardzo interesujących recenzji (Peiper w „Odrodzeniu"), na ogół artykuły poświęcone temu odcinkowi spraw teatralnych, które wiążą się bezpośrednio z literaturą lub ze społecznym znaczeniem danej sztuki, to w pismach poświęconych wyłącznie sprawom teatralnym znaleźć możemy nierzadko artykuły specjalne, omawiające dane zagadnienie teatralne wielostronnie i głęboko.

W miesięczniku „Teatr", którego numery nieraz już omawiałem na łamach kroniki prasowej, taki materiał — nie należy do rzadkości. Bieda w tym tylko, że nieraz wśród cennych prac, jakie się tu zamieszcza, ukazują się również prace o pozornej głębi, i rzekomo rewolucyjnej ideologii, które w gruncie rzeczy raczej mogą wprowadzić zamęt w umyśle młodego pracownika teatru niż przyczynić się do wyjaśnienia mu ważnych problemów uzyskania łączności pomiędzy teatrem i szerokimi masami widzów. W innym znów numerze zdarzyło się czytać artykuł na temat teatru ludowego, równie ryzykowny i równie chybiający celu. Są to jednak ciemne strony, a „Teatr" nie jest przecież pozbawiony i cech bardzo dodatnich. Przede wszystkim, gdy przejrzymy spis współpracowników tego miesięcznika, spostrzegamy, że „Teatr" skupił wokół siebie prawie wszystkich wybitniejszych znawców spraw teatralnych w Polsce. Taka centralizacja już jest cenna i w pewnym sensie gwarantuje dalszy rozwój tego pisma. Drugą zaletą jest zainteresowanie, jakie „Teatr" objawia nietylko dla warsztatu reżysera, aktora, czy dyrektora teatru, ale i dla warsztatu pisarza względnie tłumacza. W ten sposób, wertując numery pisma, możemy wytworzyć sobie mniej więcej dokładne pojęcie o zagadnieniach współczesnego teatru w Polsce. Być może wskutek centralnego położenia reakcji „Teatru" teatr warszawski wysuwa się zbyt często na plan pierszy i być może z doświadczeń teatru warszawskiego wysnuwane są wnioski ogólne. Jak wiadomo wskutek specyficznych warunków życia powojennego, ośrodki kulturalne w naszym kraju wytyczają dziś trójkąt: Warszawa — Łódź Kraków. Ten podział w równej mierze odnosi się i do teatru. „Teatr", który z racji swojej objętości i położenia centralnego powinien w równej mierze uwzględniać szeroko pracę teatrów krakowskich i łódzkich, tymi ostatnimi zajmuje się raczej w kronice. W tych warunkach występuje paradoksalne zjawisko, że ukazujący się w stolicy „Teatr" nabiera niekiedy cech prowincjonalnych, gdy np. drukuje obszerny wywiad z dyrektorem jednego z warszawskich teatrów utrzymany w tonie i w formie wywiadu dla prasy codziennej.

Nic więc dziwnego, że dwa pozostałe poważne ośrodki teatralne Krakowa i Łodzi stworzyły własne pisma w których z kolei dominują, rzecz oczywista, sprawy związane bezpośrednio z ich działalnością. W Krakowie mamy „Listy z teatru", przynoszące również bardzo interesujące wiadomości z zakresu teatrialiów zagranicznych, w Łodzi zaś „Łódź Teatralną".

„Łódź Teatralna" wykorzystując przeważnie pióra teatrologów, skupionych dość licznie wokół istniejącego tu poważnego ośrodka teatralnego, komponuje swe numery w uzgodnieniu z repertuarem teatrów łódzkich. W ten sposób widzowie teatrów łódzkich oglądając sztukę, mogą zapoznać się z wszechstronnie opracowanym materiałem, dotyczącym tej sztuki zarówno od strony jej walorów ściśle teatralnych jak i od strony jej znaczenia społecznego. Nr 5 „Łodzi" został poświęcony Włodzimierzowi Perzyńskiemu, z okazji wystawienia „Szczęścia Frania", oraz Fredrze z okazji wystawienia „Ślubów Panieńskich". „Łódź Teatralna" jest więc niejako prospektem miejscowych teatrów. Trzeba stwierdzić, iż prospekt ten jest redagowany sumiennie i odpowiedzialnie.

Wracając z kolei do „Teatru" chciałbym skreślić tu pokrótce zawartość ostatniego (4—5) numeru:

Numer otwiera przemówienie Michała Rusinka wygłoszone nad trumną Juliusza Osterwy. Następnie znajdujemy artykuł Jana Nepomucena Millera — autor maluje nam przyszłość teatru na drodze zespolenia widowni ze sceną, widza z aktorem. Miller stwierdza, że widz ma „potrzebę wewnętrzną współdziałania w sztuce". Teatr w czasach nowszych — twierdzi dalej autor — odbiegł od dawnego swojego przeznaczenia, przestał być „formą obrzędu religijnego, wprzęgającego wszystkich do współzawodnictwa". Teatr dworski, teatr mieszczański — twierdzi Miller — oddzielił widza od aktora, widownię od sceny. To też — mówi dalej autor — trzeba koniecznie przywrócić ów stan rzeczy, gdy widownia na nowo połączy się ze sceną. Oto jakie motywy każą Millerowi wysunąć taki postulat: „Ileż to razy zdarza się wszak, że widz skazany na przymusowy, bierny spokój w teatrze w pewnych momentach spiętrzenia kryzysu lub załomu akcji radby się zerwać i krzyknąć, wybuchnąć śmiechem lub łzami się zalać, wyciągnąć ręce lub pochylić czoło i przestać już patrzeć — na chwilę, na wieczność... rozpłynąć się w gwiezdnym potoku rozpętanych wizyj".

Miller twierdzi dalej, że „nie mamy prawa... dusić i dławić..." tych wzruszeń, „bo są prawdą tętniącą bijącego serca, jego głosem tajemnym, krzykiem w nocnej głuszy i zmorą dławiącą ponocnych majaków". Powstrzymuję się od wszelkich komentarzy tych cytatów, nie chcę bowiem być złośliwy wobec „Teatru", który poza tym zawiera kilka pozycji naprawdę cennych i ciekawych. Wśród nich wybija się zwłaszcza artykuł Józefa Ma.

ślańskiego: „Gdy powracamy do Szekspira". Artykuł ten omawia zwięźle, krótko i bez frazesów główne trudności, które należy pokonać przy wystawianiu sztuk szekspirowskich. A więc sprawa poprawnych przekładów, sprawa ujęcia reżyserskiego, sprawa aktorów. Wydaje się, że wobec rozpoczynającego się konkursu szekspirowskiego artykuł ten jest bardzo aktualny. Wśród szekspirianów tego numeru znajdujemy jeszcze: Wiktora Hahna artykuł informacyjny o prapremierze „Hamleta" we Lwowie w roku 1794, fragment nowego przekładu „Hamleta", dokonanego przez Jarosława Iwaszkiewicza oraz krótki artykuł L. H. Morstina o „Tymonie Ateńczyku".

Tygodniki literackie nie pozostają nieczułe na sprawy teatru. „Nowiny Literackie" poświęciły im cały numer 14. Znajdujemy tu m. in. obszerne sprawozdanie z premier krajowych Edwarda Csato: „Podróż teatralna", o Teatrze Wojska Polskiego króciutkie wspomnienie zamieszcza Piotr Borowy, o niedostatkach naszej krytyki teatralnej pisze Jan Kreczmar, o kukiełkach Obrazcowa. Karol Malcużyński. „Tygodnik Powszechny" poświęcił numer 25 pamięci Juliusza Osterwy. Numer ten przeważnie składa się z artykułów wspomnieniowych. Na szczególne wyróżnienie zasługuje otwierające numer piękne przemówienie ks. Konstantego Michalskiego, wygłoszone nad grobem znakomitego artysty. Pozostałe prace są jak to już wspominałem — prawie wyłącznie wspomnieniowe. W numerze poświęconym pamięci świetnego aktora znajdujemy tylko ogólniki na temat jego sztuki i dobitne podkreślenia jego katolicyzmu. Brak natomiast całkowicie szerzej opracowanego artykułu teoretycznego, któryby mógł wyjaśnić czytelnikowi istotę teatru Osterwy. O tej sprawie napomyka zaledwie artykuł Tadeusza Kudlińskiego, w innych artykułach wyjaśnia się ją bardzo jednostronnie, zapisując na konto wiary doskonałość rzemiosła i intelektu.

ph.

KORESPONDENCJA

W sprawie podręczników matematyki i fizyki

Dużo radości sprawiła mi Nota w Nr 22, „Kuźnicy" o sytuacji na polu wydawnictw matematycznych. Sprawa jednak została potraktowana nieco jednostronnie. Chciałem tu zwrócić uwagę na drugi aspekt tego zagadnienia. Chodzi o ogromny brak podręczników akademickich z zakresu nauk matematycznych i fizycznych jaki daje się odczuwać na naszych Uniwersytetach.

Student staje obecnie wobec zagadnienia z czego się uczyć — z czego pogłębiać zdobyte wiadomości. Częste są obecnie wypadki odkładania egzaminów, a zatem i przedłużania czasu studiów (ile to Państwo kosztuje) z powodu braku podręcznika dającego wiadomości potrzebne do egzaminu.

Jak dotychczas pozycje wydawnicze z zakresu matematyki są tak nieliczne, że palców u jednej ręki wystarczy by je zliczyć. Jak na trzeci rok Niepodległości, to przerażająco mało. Nakłady podręczników, które się ukazywały były niewielkie, cena — przeważnie niedostępna dla studenckiej kieszeni.

Dlatego fakt przerwania milczenia na ten temat jestem skłonny, jak i moi Koledzy, uważać za dobry omen. Może fachowcy przedyskutowaliby i rozpatrzyli bliżej sprawę drukarń, czcionek, papieru i wszystkiego co utrudnia wydawanie podręczników. Należy rozpatrzyć tę sprawę, nie tylko pod kątem widzenia reprezentacji zagranicznej dorobku naszych uczonych, ale i dostarczenia polskiemu studentowi dobrego i taniego podręcznika. Szybkie rozwiązanie tego problemu niech będzie dowodem zrozumienia ważności kształcenia nowego narybku dla polskiej nauki. Łączę wyrazy poważania

„jeden z nielicznych studentów fizyki"

Oświadczenie

Związek Zawodowy Literatów Polskich Oddział w Łodzi, w porozumieniu z Zarządem Głównym ZZLP, oświadcza, że wszystkie zatargi jakie istniały pomiędzy Wydawnictwem Eugeniusza Kuthana a członkami Związku zostały ku zadowoleniu wszystkich osób zainteresowanych całkowicie zlikwidowane i wszelkie pretensje zaspokojone, a pomawianie Wydawnictwa o rzekome dokonanie naddruku okazało się nieprawdziwym. Wobec powyższego Oddział Łódzki Związku Literatów Polskich cofa zastrzeżenia które swego czasu wysunął w stosunku do pomienionego Wydawnictwa.

Komunikat

Sąd Koleżeński przy Łódzkim Oddziale Związku Zawodowego Literatów Polskich w składzie kol.kol. Kazimierz Bleszyński jako przewodniczący, Zofia Petersowa i Jan Huszcza, na posiedzeniu w dniu 14. VI. 1947 r. rozpatrywał skargę kol. Mariana Piechala przeciwko zespołowi „Kuźnicy", którą reprezentował kol. Stefan Żółkiewski.

Na propozycję polubownego załatwienia sporu strony wyraziły zgodę.

Zespół „Kuźnicy" zobowiązał się do wydrukowania następującego oświadczenia:

„W związku ze skargą kol. Mariana Piechala, złożoną do Sądu Koleżeńskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, zespół „Kuźnicy" na zasadzie polubownego porozumienia ze skarżącym oświadcza:

Po powstaniu sporu między stronami, zarówno osoba jak i działalność literacko-ideowa kol. Mariana Piechala w radio łódzkim nie budziła zastrzeżeń ani natury politycznej, ani artystycznej zespołu „Kuźnicy" i wobec tego godny ubolewania zatarg z roku ubiegłego jest bezprzedmiotowy".

Ze swojej strony kol. Marian Piechal skargę wycofał.

K. Bleszyński Z. Petersowa J. Huszcza

Koty

Anglia i b. Hitlerjugend (I)

Brytyjski minister dla strefy okupacyjnej w Niemczech — Pakenham przyjął przywódców organizacji niemieckiej młodzieży w Düsseldorfie. Pakenham oświadczył, że w Wielkiej Brytanii nie traktuje się bynajmniej młodzieży niemieckiej jako odpowiedzialnej za wypadki przeszłości. Młodzież ta ma słuszne prawo uważać się dumnie za niemiecką.

„W ten czy inny sposób musimy przełamać wszelką gorycz i nienawiść, która zrodziła się w przeszłości, i uczynić wspomnienie wojny zjawiskiem, które się nigdy nie powtórzy" — oświadczył Pakenham — „W tym duchu będę pracował przez całe moje życie. Można powiedzieć z pełnym uczuciem odpowiedzialności, że młodzieży niemieckiej nie można uważać za odpowiedzialną za wojnę. Prawdą jest również, iż żaden kraj nigdy nie byłby w stanie uniknąć konsekwencji zaszłych w ciągu wojny wypadków. Obowiązkiem młodzieży niemieckiej jest starcie wszelkich plam na honorze jej narodu. Odziedziczyliście — oświadczył minister brytyjski — niemiecki charakter: odwagę i wytrwałość w obliczu niesłychanych trudności, cechy, z których naród niemiecki jest znany na całym świecie. Mogę was zapewnić — zakończył Pakenham — że polityka moja idzie całkowicie po linii polityki brytyjskiej: nadziei dla Niemiec".

bs.

B. Hitlerjugend i Anglia (II)

Wzrastający opór Niemców wobec wykonania planu odszkodowań wykazany jest dobitnie przez zestawienia statystyczne I kwartału b. r. I tak, gdy w styczniu b. r. stwierdzono 66 wypadków sabotażu, w lutym cyfra ta spadła do 22, ale w marcu podskoczyła już do 105 wypadków. Niemcy uważają, że im więcej trudności Wielka Brytania i Stany Zjednoczone spotkają na drodze do wypełnienia żądań reparacyjnych innych Aliantów, tym szybciej cały plan odszkodowań zostanie zaniechany.

W akcji propagandowej na rzecz sabotażu, celują w pierwszym rzędzie niemieccy przemysłowcy i politycy, którzy nawołują robotników do niestosowania się wobec żądań alianckich. W zakładach Kruppa w Essen kierownictwo niemieckie poucza robotników o ich tak zwanych „prawach" na podstawie konwencji haskiej, które mają rzekomo określać, jakie maszyny nie podlegają rozbiórce. Szczególny posmak na tle tej sytuacji mają słowa, wypowiedziane ostatnio przez brytyjskiego ministra Pakenhama, pod adresem niemieckiej młodzieży, że „może być ona słusznie dumną z tego, że jest niemiecką".

bs.

Dzisiejsze czasy

„A jeżeli wzmiankowany Smith... nie ma miejsca w Ameryce Hearsta, to znajdzie je w innej Ameryce, w Ameryce Lincolna, w Ameryce Roosevelta".

(K. Simionow: „Kwestia rosyjska")

„Ameryka jest wielka. Wielka przez swoją młodzież i wielka przez swoje możliwości. Nigdzie nie popełniono tylu błędów ile tu... Ale tu jest jeszcze wszystko takie młode. A przecież Ameryka zostawia cały świat w tyle w porównaniu z tym, co mu dała w służbie wolności... Mówią, że wcale nie jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych. Ale kawałek papieru nie czyni z nikogo obywatela. Jestem Amerykaninem z tego prostego powodu, że ja ten kraj kocham i tylko przypadek chciał, że się urodziłem w londyńskiej „dzielnicy biedaków".

Kiedy w grudniu ubiegłego roku mówił te słowa Chaplin amerykańskiemu korespondentowi „Die Weltwoche" — „Monsieur Verdoux" jeszcze nie był gotów, Chaplin go dopiero kręcił po długim od „Dyktatora" milczeniu i wiadomo tylko było, że to będzie odważny film, tworzony przez człowieka, który śmiał przełamać hollywoodzką tradycję milczenia o problemach społecznych i politycznych.

Więc na wszelki wypadek prasa zaczęła się „zajmować" Chaplinem. Przypominano, że ma czwartą żonę i od czasu do czasu zacytowano co drastyczniejszy moment jednego z jego procesów rozwodowych. Przypominano, że wcale nie jest obywatelem amerykańskim, a jedynie cudzoziemcem. Zaś coniektóre pisma zwróciły uwagę, że przecież Chaplin jest Żydem.

Wreszcie — stwierdzono — jest anarchistą i internacjonalistą. Przecież sam powiedział: „Czuję się małą częścią wielkiej ludzkości... Przejechałem cały świat i wszędzie czułem się jak w domu. Wszędzie znajdowałem ludzi i wszędzie te same problemy... Tworzymy wszyscy jedną ekonomiczną całość. Tworzymy wszyscy jedność umysłową. A więc jesiem człowiekiem i czy są w tym pojęciu różnice?" Tak „kompromitowano" tego wielkiego idealistę i przygotowano stopniowo opinię. Na wszelki wypadek. Bo niewiadomo było, jak ostatecznie wypadnie „Monsieur Verdoux".

Premiera odbyła się niedawno w „Broadway theater", a już w prasie światowej ukazują się krytyki tego filmu. Krytyki pochlebne. Podkreślają ostrość tematu, który chłoszcze bezlitośnie sprzeczności ustroju kapitalistycznego. Podkreślają wartość scenariusza, przerobionego przez Chaplina, i ciętość dialogów (jest ich ponoć nieco za dużo) napisanych przez Chaplina, i walory muzyki skomponowanej przez Chaplina i nową kreację artystyczną Chaplina, która zrywa z dotychczasowym typem z wąsikami, melonikiem i laseczką. Ale według krytyki amerykańskiej rzecz wygląda zupełnie inaczej. Dialogi banalne, gra słaba, technika jak u braci Lumiere a wartości artystycznych żadnych. Natomiast film demoralizuje i działa przeciw prawu i porządkowi zorganizowanego społeczeństwa. Więc zakazać dla młodzieży! Więc obciąć nożycami cenzury!

Nie trwało długo. Deputowany stanu Missisipi, prezes komitetu badania działalności antyamerykańskiej, „demokrata" Rankin zażądał przed Izbą Reprezentantów usunięcia Chaplina z granic Stanów Zjednoczonych. „Ten aktor powiedział Rankin, przedstawia niebezpieczeństwo dla struktury społecznej. Wysiedlając go, oddalimy go od naszych ekranów i oddalimy od naszej młodzieży, by nie była demoralizowana jego filmami."

Charlie Chaplin dostał już wezwanie stawienia się przed komisją badania działalności antyamerykańskiej, ale nie będzie sam. Spotka się tam z Elliot Rooseveltem i Henry Wallacem i tymi wszystkimi, którzy, że walczą dla postępu i dla demokracji są podejrzani o działalność antyamerykańską przez Hearstów, Rankinów i Bilbów.

Mm

Kariera młodego Dawida

Już zajmowaliśmy się na tym miejscu tomikiem „Liryki romantycznej", wydanym w „Bibliotece autorów polskich" dla użytku szkolnego. Wyraziliśmy ubolewanie, że w zbiórku tym Norwid zaliczony został prawem kaduka do romantyków. Teraz musimy zająć się również Dawidem, królem biblijnym, autorem „Psalmów".

Pamiętamy wszyscy z „Fortepianu Szopena" zdanie:

Jakikolwiek jest twój i gdzie... znak
Czy w Fidiaszu? Dawidzie? Czy w Szopenie?
Czy w Eschylesowej scenie?

W objaśnieniach „Liryki romantycznej" czytamy: Dawid — posąg młodego Dawida, dłuta Michała Anioła.

Owszem, jest taki posąg we Florencji, bardzo nawet piękny, ale cóż z tego, Norwid mówi nie o posągu Michała Anioła, lecz o Dawidzie, poecie Psalmów. Wymienia najwyższe w jego mniemaniu osiągnięcia sztuki wszystkich czasów: a więc w Fidiaszu — rzeźby, w Dawidzie — poezji religijnej w Szopenie — muzyki, w Ajschylosie — tragedii.

Już ten sam błąd z posągiem Dawida Michała Anioła popełnił swego czasu Pini. Już na ten temat pisano przed wojną, no i cóż? — historia się powtarza.

Jest wiersz Michała Anioła o posągu Dawida:

Dawid z procą
I ja z łukiem...
Michał Anioł,

Runęła wzniosła kolumna.

Ten wiersz tłumaczył Leopold Staff, lecz z tego nie wynika, że Staff wyrzeźbił posąg Dawida.

m. j.

Teatr Ludowy

Cały świat przeżywa obecnie okres, w którym odczuwamy we wszystkich literaturach brak nowych arcydzieł. We wszystkich językach, jak wynika z różnych informacyj, mamy dzieła dużej poprawności, nawet dużej klasy, dzieła twórcze, przynoszące nowe zdobycze artystyczne i ideowe. Ale brak jest arcydzieł, któreby odrazu charakteryzowały chociażby na początek pisarzy. Brak książek na miarę sukcesów Rimbauda, Apollinaire'a i Majakowskiego. Myślę, iż dobrze jest, gdy z takiego szerszego, porównawczego punktu widzenia patrzy się na tak bardzo żywe, twórcze i pełne osiągnięć życie literackie naszego kraju. Gdy nie czeka się na wstrząs, który ma przynieść arcydzieło. Ale widzi się — ciekawe, pełne odkryć artystycznych żłobienie drogi nowej literaturze — w epoce tak szczególnie niewdzięcznej dla sztuki jak mówią sprawozdawcy z całego świata.

Nie od rzeczy będzie, jeśli surowi krytycy poszukiwań i tak bardzo świadomych celu nowatorskich prób niektórych naszych teatrów, również nie uwieńczonych arcysukcesem, zdadzą sobie sprawę, iż podobnie jest i gdzie indziej. Czerwcowy numer „Europe" przynosi taką ocenę teatru francuskiego przez Francis Cremieux „...sprawozdanie z widowisk paryskich jest rzeczą onieśmielającą... Skąd bierze się ta niepokojąca jałowość, dlaczego tyle wznowień, klasyków, tłumaczeń? Czy dyrektorzy mają rację, gdy wyrzekają na nieobecność autorów? Jest pewnym, że warunki ekonomiczne zabraniają dziś wszelkich bezinteresownych imprez teatralnych... Nie przestanę powtarzać, że teatr nie zajmuje żadnego miejsca w życiu kulturalnym narodu francuskiego i jest rzeczą groźną zapisać taką klęskę w trzy lata po uwolnieniu kraju.

Wobec miernności teatru francuskiego trzeba na nowo postawić sprawę teatru ludowego...".

Autor w dalszym ciągu omawia próby stworzenia takiego teatru w szerokim zasięgu. Podkreśla konieczne tu posunięcia o charakterze ekonomicznym. Przystępność cen biletów. Dalej zaś omawia sprawę repertuaru takiego teatru: „Ci ,którzy bez przerwy mają na ustach słowo **ludowy** każą mi myśleć o fabrykantach sera **narodowego,** kawy **narodowej,** butów lub tkanin **narodowych**, którzy w 1941 zatapiali rynek swymi wyrobami. W tej epoce przymiotnikiem **narodowy** chrzciło się wszystkie towary gorszej jakości. Czyż powtórzy się ta sama operacja dziś z przymiotnikiem **ludowy?** Domy ludowe nie były nigdy norami. Teatr ludowy nie powinien być namiastką. Dla mnie bronić teatru ludowego to tyle co popularyzować teatr, a nie tylko pewne szuki, które, wydaje się, iż odpowiadają ludowi, są pisane specjalnie dla ludu. Wyznaję, iż nie rozumiem czego można oczekiwać od autora dramatycznego, który pisze dla ludu i wierzę, że ma się szczególną ideę tego „ludu", jeśli się wierzy, że pewne tematy są dlań konieczne, a inne zabronione... Trzeba popularyzować teatr w ogóle... ...Klasycy, zarezerwowani dla elity, staną się ludowi w dniu, gdy inni aniżeli elita przyjdą ich oklaskiwać".

Żlk.

Matura i zwolnienie z pracy

Z wielu stron donoszą nam o różnego rodzaju szykanach i utrudnieniach, jakie stosują niektórzy dyrektorzy instytucji państwowych wobec pracowników, zdających egzaminy maturalne. Nie chcą zwalniać z pracy, albo też próbują zwolnienia na przygotowanie do egzaminów zaliczyć na urlop wypoczynkowy.

Jakiekolwiek argumenty są zbędne. Wiemy dobrze, ile ofiar i starań czyni rząd i społeczeństwo, aby ułatwić naukę młodzieży pracującej, opóźnionej, niezamożnej. Instrukcje i okólniki przewidują zwolnienia na przygotowanie się do egzaminów. Ale instrukcje i okólniki zostaną na papierze, o ile aparat administracyjny państwa demokratycznego będzie nadal obarczony tradycjami przedwojennymi. To ciągle ta sama sprawa hierarchii potrzeb i jasnego spojrzenia. Ważne jest wykonanie planu i kierownik przedsiębiorstwa musi żądać pełnej wydajności od swych pracowników. Ale sprawa awansu społecznego i wychowania nowych kadr fachowców jest jeszcze ważniejsza. Trzeba umieć spojrzeć poza bramę fabryki i drzwi biura.

Jeżeli dyrektor nie chce zwolnić pracownika na egzaminy, czy dać mu możność przygotowania się od czego do licha jest Rada Zakładowa. Jeżeli Rada Zakładowa zapomina o swoich obowiązkach, od czego, do diabła, jest sekretarz organizacji partyjnej PPR czy PPS! Młodzież ma prawo do nauki. Rzeczywiste, prawdziwe, pełne

rkm

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ:
Za 1 mm na 1 szpalte 40 zł.
D—015645 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.